Murray Leinster

Lekarz Służby Medycznej

(Med Ship Man)

`

Galaxy Magazine, October 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Calhoun z uczuciem bliskim rozdrażnieniu obrzucił wzrokiem komunikator, kiedy jego nagrany głos po raz dwudziesty powtarzał standardowe zgłoszenie podejścia. Nie nadeszła jednak żadna odpowiedź, co już dawno temu zrobiło się irytujące. Dla Calhouna był to nowy sektor Służby Medycznej. Przydzielono go do trasy oblotu innego lekarza, ponieważ tamten został uziemiony z romansowych powodów. Ożenił się, co wykluczyło go z szeregów Służby Medycznej. W efekcie tego wszystkiego, Calhoun siedział teraz tutaj i słuchał swego własnego głosu, w nieskończoność powtarzającego wywołanie, na które powinien otrzymać odpowiedź natychmiast.

Tormal Murgatroyd przyglądał mu się paciorkowatymi, ciekawskimi oczkami. Planeta Maya znajdowała się tuż za lewą burtą Statku Medycznego *Asklepios Dwadzieścia*. Jej niemal okrągły dysk widoczny był w pełnej krasie na ekranie wizyjnym obok pulpitu ze sterami statku. Obraz był idealnie czysty i miał doskonałe żywe barwy. Widać było wyraźnie czapę lodową. Kontynenty. Morza. Z jednego boku można było dostrzec układ chmur, znacznych rozmiarów cyklonu, kontynenty wyglądały dokładnie tak jak powinny, zaś morza miały to niemożliwe do opisania lekko matowe zabarwienie, które wskazywało na głęboką wodę.

Kiedy Calhoun ponownie podszedł do komunikatora, jego nagrany godzinę wcześniej głos po raz kolejny zabrzmiał właśnie w głośniku, a następnie został nadany w stronę tej tak wspaniale prezentującej się planety, leżącej sto tysięcy mil przed nim.

— Wzywam ziemię — oznajmił zarejestrowany głos Calhouna. — Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia* wzywa ziemię, zgłaszając swe przybycie i prosząc o współrzędne do lądowania. Nasza masa wynosi pięćdziesiąt ton standardowych. Powtarzam pięć-zero ton. Cel lądowania: planetarna inspekcja zdrowotna.

Zarejestrowany głos ucichł. Nastąpiła chwila milczenia, wypełniana tylko przez losowe szumy taśmy, dzięki którym na statku nie zapanowała atmosfera jak w rodzinnym grobowcu.

Murgatroyd spytał:

— *Chee*?

Calhoun odparł mu ironicznie:

— Bez wątpienia, Murgatroyd. Bez wątpienia! Ktokolwiek siedzi na służbie w porcie kosmicznym, wyszedł sobie gdzieś na chwilę, padł martwym trupem, albo zrobił coś równie niedogodnego. Musimy poczekać, aż wróci na miejsce, albo ktoś inny przejmie jego obowiązki.

Murgatroyd oznajmił *„Chee!”* i zaczął lizać swoje wąsiki. Wiedział, że kiedy Calhoun mówił coś przez komunikator, powinien mu odpowiedzieć głos innego człowieka. Następnie powinna mieć miejsce rozmowa, i

wkrótce po tym pola siłowe sieci lądowniczej powinny wziąć Statek Medyczny w swe objęcia i zacząć go przesuwać w stronę planety. Po pewnym czasie, statek powinien dotknąć ziemi w porcie kosmicznym, otoczony ze wszystkich stron strzelającymi w niebo, gigantycznymi srebrzystymi ramionami sieci lądowniczej. Potem zaś powinni pojawić się ludzie, witający serdecznie Calhouna i z uśmiechem głaszczący Murgatroyda.

— Wzywam ziemię — jeszcze raz oznajmił nagrany głos. — Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia*…

Kontynuował dalej, przechodząc przez procedurę formalnego zgłoszenia przylotu. Murgatroyd czekał, pogrążony w przyjemnych przewidywaniach. Kiedy Statek Medyczny wylądował już w wywoływanym porcie, ludzie dawali mu cukierki i ciasteczka, oraz rozpływali się w zachwytach, gdy pił kawę dokładnie jak człowiek, a nawet z większym smakiem. Na ziemi Murgatroyd ochoczo poznawał społeczeństwo, kiedy Calhoun pracował. Calhoun zajęty był naradami z urzędnikami planetarnej opieki zdrowotnej, uprzejmie przyjmując wszystkie informacje, które tamci uznawali za ważne i taktownie opowiadając im o najnowszych rozwiązaniach w naukach medycznych, które były znane Międzygwiezdnej Służbie Medycznej.

— Ktoś — ponuro stwierdził Calhoun — powinien dostać za to nieźle po uszach!

Nagle odezwał się głośnik komunikatora:

— Wzywam Statek Medyczny — oznajmił dochodzący z niego głos. — Wzywam Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia*! Tu mówi liniowiec *Candida*. Czy otrzymaliście jakąś odpowiedź z ziemi?

Calhoun zamrugał oczyma. Potem odpowiedział szorstko.

— Jeszcze nie. Wywołuję ich przez całe pół godziny, i nie otrzymałem w odpowiedzi ani słowa!

— My jesteśmy na orbicie już od dwunastu godzin — powiedział głos z przestrzeni. — Wywołujemy ich przez cały czas. Żadnej reakcji. Nie podoba nam się to.

Calhoun pstryknął przełącznikiem, który podpiął ekran wizyjny do obwodu teleskopu elektronowego statku. Pojawiło się na nim rozgwieżdżone niebo, przesuwające się w szalonym tempie. Potem na środku ekranu scentrował się jasny punkt. Wzmocnił powiększenie. Jasny punkt rozszerzył się i zmienił się w pękaty statek handlowy, z fałszywymi iluminatorami, przez które, jak chętnie wierzyli pasażerowie, będą mogli sobie wyglądać, lecąc w kosmosie. Para relatywnie dużych wrót ładunkowych po każdej stronie, mówiła, że statek oprócz pasażerów przewoził także ciężkie ładunki. Jednym słowem, był to jeden z tych koni roboczych obsługujących skupisko gwiezdne, statek przewożący ładunki i pasażerów linii długodystansowych, wysadzających ich tylko w określonych głównych portach tranzytowych.

Murgatroyd przemaszerował przez całą kabinę Statku Medycznego i przyjrzał się obrazowi z niesamowicie mądrą miną. Nic on dla niego nie znaczył, ale *tormale* naśladowały zachowanie ludzi, tak jak papugi, czy szpaki naśladują ludzką mowę. Powiedział: „Chee!” tak jakby dokonał

jakiejś obserwacji o pierwszorzędnym znaczeniu, a potem udał się z powrotem na swoją poduszkę i zwinął się na niej w kłębek.

— Nie widzimy na dole niczego złego — skarżył się głos z transportowca, — ale nie odpowiadają na wezwania! Nie odebraliśmy także sygnałów z żadnych innych miejsc. Zeszliśmy na dwie średnice planety i nie udało nam się zupełnie niczego złapać. A mamy pasażera, który chce wylądować. Upiera się przy tym!

Zazwyczaj, do komunikacji między różnymi miejscami na powierzchni planety używa się częstotliwości radiowych, które warstwa jonowa atmosfery może odbić lub załamać, kierując je poza horyzont. Na ogół, jednak, część fali wycieka w kosmos, a ponadto generalnie korzysta się również bardzo intensywnie z częstotliwości lokalnych, w zasięgu horyzontu. Wręcz jednym z problemów statków zawijających do portu pozostaje fakt, że przestrzeń w jego pobliżu jest pełna miejscowych sygnałów.

— Sprawdzę to — powiedział krótko Calhoun. — Czekajcie w gotowości.

Candida powinna przybyć na Mayę, tak samo jak Statek Medyczny, i wywołać kontrolę naziemną, podobnie jak robił to Calhoun. Było bardzo prawdopodobne, że statek latał zgodnie z określonym rozkładem i operator sieci w porcie kosmicznym, powinien się go spodziewać. Handel kosmiczny był ważny dla każdej planety, porównać go można było mniej więcej z kwestią importu/eksportu uprzemysłowionego państwa w dawnych czasach na Ziemi. Planety miały wyrafinowane systemy wspomagania ruchu transportowców przewożących towary między układami słonecznymi, tak jak kiedyś przewoziły je między kontynentami Ziemi. Tego rodzaju systemy wspomagania ruchu były bardzo starannie utrzymywane. Z pewnością fakt, że sieć lądownicza w porcie kosmicznym nie odpowiada na wywołania przez dwanaście godzin, wyglądał złowieszczo.

— Zastanawiamy się — stwierdziła zrzędliwie *Candida* — czy tam na dole nie mogło stać się coś naprawdę złego. Jakaś choroba, na przykład.

Słowo „choroba” miało zastępować bardziej niepokojące określenie. Ale kiedyś w historii miało już miejsce zdarzenie, że zaraza wybiła niemal do nogi ludność Dorset, a pierwsze statki które przybyły po jej zakończeniu bardzo nieostrożnie wylądowały na planecie, i w ten sposób zaniosły zarazę do dwóch następnych portów przeznaczenia. W obecnych czasach przepisy odnośnie kwarantanny, wymuszane były naprawdę bardzo rygorystycznie.

— Spróbuję ustalić, o co chodzi — obiecał Calhoun.

— Mamy pasażera — powtórzyła bardzo skrzywdzonym tonem *Candida*, — który nalega, żebyśmy pozwolili mu wylądować w szalupie kosmicznej, jeśli sam statek nie będzie lądował. Twierdzi, że ma tam na dole ważną sprawę.

Calhoun nic nie odpowiedział. Prawa pasażerów w dzisiejszych czasach były chronione wręcz ekstrawagancko. Niedostarczenie pasażera do jego miejsca przeznaczenia, uprawniało go do wysokich karnych odszkodowań, na które żadna linia kosmiczna nie mogła sobie pozwolić. Tak więc pojawienie się Statku Medycznego, mogło wydawać się kapitanowi *Candidy* darem niebios. Calhoun mógł go zwolnić od odpowiedzialności.

Ekran teleskopu zamrugał i pokazał powierzchnię planety położoną w odległości stu tysięcy mil. Calhoun spojrzał gniewnie na obraz na ekranie i skierował teleskop na miasto, w którym znajdował się port kosmiczny – Maya City. Widział arterie drogowe i bloki budynków. Widział port kosmiczny i należącą do niego sieć lądowniczą. Oczywiście, nie był w stanie zobaczyć żadnego ruchu.

Wzmocnił powiększenie. Wzmocnił je ponownie. Ciągle żadnego ruchu. Wzmocnił powiększenie aż do poziomu przy którym zaczął być widoczny kraciasty wzorzec kryształów wzmacniających teleskopu. Ale przy tej odległości statku od planety, samochody naziemne widać byłoby jedynie jako obiekty o wielkości jednej czterdziestej sekundy łuku. Była jeszcze ponadto atmosfera, z całą jej termiką; nic co miałoby rozmiary samochodu naziemnego, po prostu nie mogło być widoczne.

Ale samo miasto widać było zupełnie dobrze. Nic strasznego mu się nie stało. Nie miała miejsca żadna fizyczna katastrofa na wielką skalę. Ono po prostu nie odpowiadało tylko na sygnały z kosmosu.

Calhoun wyłączył gwałtownie ekran.

— Obawiam się — powiedział z irytacją do mikrofonu komunikatora, — że będę musiał dokonać alarmowego lądowania. To może być jakaś trywialna sprawa, jak awaria zasilania… — wiedział jednak, ze to akurat było niesamowicie mało prawdopodobne — albo może coś innego… cokolwiek. Wyląduję na rakietach i powiem wam czego się dowiedziałem.

Głos z *Candidy* zdawał się nabierać nadziei.

— Czy może pan autoryzować nam odmowę zgody na lądowanie pasażera, dla jego własnej ochrony? Robi nam tu prawdziwe piekło. Upiera się, że jego interesy wymagają tego, aby tu wylądować.

Polecenie Calhouna, jako lekarza Służby Medycznej, chroniłoby właścicieli liniowca przed żądaniami odszkodowania. Ale Calhounowi nie podobała się cała ta sprawa. Uświadomił sobie, z niesmakiem, że tam na dole może natrafić praktycznie na wszystko. Może stwierdzić, że będzie musiał objąć kwarantanną nie tylko planetę, ale razem z nią i samego siebie. W takim przypadku będzie potrzebował *Candidy* do zaniesienia wiadomości o kwarantannie na inne planety, i w ten sposób do kwatery głównej sektora Służby Medycznej.

— Straciliśmy tutaj mnóstwo czasu — nalegała *Candida*. — Czy może pan autoryzować nam…

— Jeszcze nie — oznajmił Calhoun. — Powiem wam, kiedy wyląduję.

— Ale…

— Na razie kończę — uciął Calhoun. — Pozostańcie na nasłuchu.

Skierował mały statek w dół, i w czasie gdy nabierał on prędkości, przejrzał skrót informacji dotyczący tej określonej planety. Nigdy jeszcze tutaj nie był. Jego zawód, oczywiście, polegał na dopilnowaniu rozpowszechniania wiedzy medycznej, która rozwijała się pod egidą Służby Medycznej. Sama Służba, nie była ani organizacją polityczną, ani administracyjną. Ale była bardzo ważna. Każda zajmowana przez ludzi planeta powinna przejść wizytację Statku Medycznego co najmniej raz na cztery lata, aby dokonał on sprawdzenia stanu zdrowia społeczeństwa.

Lekarze ze Służby Medycznej, tacy jak Calhoun, oferowali porady dotyczące problemów zdrowia społeczeństwa. Kiedy pojawiało się coś wykraczającego poza ramy normalności, Służba Medyczna dysponowała sztabem badaczy, którzy jak dotąd nigdy jeszcze nie zawiedli. Miała do dyspozycji ogromne statki, wyposażone w najnowszy sprzęt laboratoryjny i wyspecjalizowany personel, które mogły pojawić się wszędzie tam, gdzie zachodziła potrzeba. Co najmniej kilkanaście zamieszkałych planet, wyłącznie w tym sektorze, zawdzięczało przetrwanie swych mieszkańców Służbie Medycznej, a liczba tych, które bez pomocy Służby Medycznej nie mogłyby zostać skolonizowane, była ogromna.

Calhoun powtórnie przeczytał skrót informacji. Maya była jedną z czterech planet, generalnie na tym terenie, których systemy życiowe, zdawały się mieć wspólne źródło pochodzenia, co mogło sugerować że teoria Arrheniusa o wędrujących przez kosmos zarodkach, była prawdziwa w pewnym ograniczonym sensie. Uznawano, iż istnieją silne poszlaki, że typ roślin niskiego poszycia, o zdolnych do ruchu łodygach i liściach, oraz kanibalistycznych skłonnościach, pochodzi z jednego źródła.

Obecnie planeta była już skolonizowana od dwóch wieków i produkowała z miejscowych roślin związki organiczne o znacznej wartości, w większości używane w przemyśle tekstylnym. Nie było żadnych tutejszych infekcji endemicznych, na które ludzie byliby podatni. Rosło tu wiele wykorzystywanych przez ludzi plonów. Jednak zboża, trawy i rośliny ziarniste, nie mogły być tu uprawiane, z powodu miejscowych roślin o ruchomych łodygach. Całość ziarna i produktów zbożowych, musiała być importowana, co poważnie ograniczało liczbę ludności Mayi. Na planecie mieszkało około dwóch milionów ludzi, skupionych w obrębie półwyspu na Morzu Jukatańskim i niewielkiego obszaru kontynentu. Wyniki badań służby zdrowia obejmowały wiele różnych spraw, dotyczących wielu różnych zagadnień… ale nie było nawet śladu niczego, co byłoby związane z brakiem odpowiedzi z portu kosmicznego na przybywające z kosmosu wezwania. Naturalnie!

Statek Medyczny schodził coraz niżej, a planeta pod nim obracała się.

W miarę jak oświetlona przez słońce półkula Mayi powiększała się, Calhoun zyskiwał coraz szersze pole widzenia dla teleskopu. Oglądał miasta, ogromne obszary oczyszczonej ziemi, gdzie miejscowe rośliny uprawiane były jako surowce dla fabryk związków organicznych. Widział jednak bardzo niewiele soczystej zieleni chlorofilu. Mayańska roślinność miała raczej kolor ciemno-oliwkowy.

Na pięćdziesięciu milach, był już pewien, że ulice miasta są puste. Brak było nawet ruchu naziemnego. W sieci lądowniczej na dole, nie było żadnego statku kosmicznego. Wspaniałymi, wielopasmowymi autostradami, nie jechał ani jeden samochód naziemny.

Na wysokości trzydziestu mil, w atmosferze nadal nie odbierał żadnych sygnałów, chociaż kiedy spróbował modulacji amplitudy odbiornika, wychwycił silne zakłócenia. Ale w eterze nie było ani jednego normalnie modulowanego sygnału, na żadnej częstotliwości. Na dwudziestu milach – nic. Na piętnastu milach wykrył, że funkcjonuje transmisja mocy, co dowodziło iż sieć lądownicza działa normalnie, pobierając ładunek elektryczny z górnych warstw atmosfery, aby dostarczyć energię dla potrzeb planety.

Od wysokości dziesięciu mil, aż do chwili zetknięcia z ziemią, Calhoun był bardzo zajęty.

Lądowanie statkiem na silnikach rakietowych, nie jest specjalnie trudne, przy rozsądnie równym terenie, na którym można by wylądować. Ale lądowanie w ściśle określonym miejscu, to zupełnie inna sprawa. Calhoun manipulował statkiem, aby posadzić go w obrębie samej sieci. Jego rakiety wreszcie wypaliły dziury o średnicy ołówka w glinie i kamieniach pod asfaltem lądowiska. Wyłączył silniki.

Cisza. Bezruch. Mikrofony zewnętrzne Statku Medycznego wyłapywały tylko ciche odgłosy wiatru wiejącego nad miastem. Nie było słychać kompletnie żadnych innych dźwięków.

…Nie. Słychać było jakiś osobliwy, odgłos jakby celowego klikania, niezbyt głośnego, niezbyt szybkiego. Mniej więcej kliknięcie – podwójne kliknięcie – co każde dwie sekundy. To wszystko.

Calhoun wszedł do śluzy powietrznej, razem z trochę rozbrykanym Murgatroydem, spodziewającym się ogromnego sukcesu towarzyskiego pośród mieszkańców tej planety. Kiedy Calhoun otworzył z trzaskiem zewnętrzny właz śluzy, coś poczuł. Lekko kwaśny, natarczywy zapach, niosący w sobie nutę rozkładu. Nie potrafił jednak rozpoznać, o jaki rozkład chodzi. I znowu cisza i bezruch. Żadnych odgłosów ruchu drogowego; brak było nawet tego niemalże niesłyszalnego szmeru, który każde miasto generuje na wszystkich swych ulicach o każdej dowolnej porze. Budynki wyglądały tak, jak powinny wyglądać w świetle dnia, poza jedną rzeczą: drzwi i okna były pootwierane. Sprawiało to trochę szokujące wrażenie.

Miasto w ruinie wygląda dramatycznie. Miasto opuszczone wygląda patetycznie. To nie wyglądało ani tak, ani tak. Było to coś nowego. Czuł się, jakby wszyscy gdzieś stąd sobie poszli, gdzieś poza zasięg wzroku, w ciągu zaledwie ostatnich paru minut.

Calhoun skierował się do budynku portu kosmicznego, z zaskoczonym Murgatroydem idącym powoli u jego boku. Murgatroyd był zaniepokojony. Tutaj powinno być pełno ludzi! Powinni witać Calhouna i podziwiać jego – Murgatroyda – powinien tu być lwem salonowym, mieć tyle słodyczy ile tylko zdoła zjeść i tyle kawy ile zmieści w swoim pęczniejącym brzuszku. Ale nic w tym kierunku się nie działo! Zupełnie nic.

— Chee? — spytał z niepokojem.

— Oni się gdzieś wynieśli — warknął Calhoun. — Prawdopodobnie odjechali samochodami naziemnymi. Nigdzie nie ma ani żywego ducha.

I nie było. Calhoun wyjrzał na zewnątrz przez fundamenty sieci i zobaczył tylko długie, zalane światłem słonecznym i kompletnie puste ulice. Doszedł do gmachu portu. Był tam – był tam kiedyś – zielony teren dookoła budynku. Nie pozostała ani jedna żywa roślina. Liście były zniszczone i pogniecione. Resztki zmieniły się niemal w galaretę połamanych łodyg i ciemno oliwkowo-zielnych wykwitów. Rośliny były martwe, ale nie od tak dawna, aby uschnąć. Mogły zostać zniszczone najwyżej dwa lub trzy dni temu.

Calhoun wszedł do budynku. Dziennik portu leżał otwarty na biurku. Zapisano w nim przybycie ładunku, który miał zostać wyekspediowany dalej – bez wątpienia – na *Candidzie*, w tej chwili czekającej niespokojnie gdzieś w górze na orbicie. Nie było żadnych oznak nieporządku. Wyglądało to dokładnie tak, jakby ludzie wyszli sobie na zewnątrz z powodu jakiegoś interesującego wydarzenia, i nie wrócili.

Calhoun powlókł się na zewnątrz portu, aby obejrzeć ulice i budynki samego miasta. To było niewiarygodne! Drzwi wszędzie były pootwierane i niezaryglowane. Towary w sklepach leżały na wierzchu, dokładnie tak jakby rozłożono je dla zainteresowanych klientów. Nigdzie nie było śladu żadnego zamieszania, czy nieporządku. Nawet w restauracjach widać było na stołach talerze i kubki. Jedzenie na talerzach było nieświeże, miało tak ze trzy dni, ale jeszcze nie zaczęło się psuć. Wszystko wyglądało tak, jakby siedzący przy posiłkach ludzie, po prostu, jak gdyby na jakiś sygnał, wstali i wyszli na zewnątrz bez żadnych oznak paniki czy niepokoju.

Calhoun wykrzywił się. Coś mu się przypomniało. Pośród opowieści, które przeniesione zostały z Ziemi na inne planety Galaktyki, była jedna kompletnie nieistotna tajemnicza historia, do której ludzie ciągle próbowali dopisać jakieś sensowne zakończenie. Dotyczyła ona starożytnego statku żaglowego o nazwie *Mary Celeste*, który został znaleziony, kiedy dryfował bez celu pośrodku oceanu. Na stole w kabinie pozostało jedzenie, piec w kuchni okrętowej był nadal ciepły. Nie było żadnych śladów jakichkolwiek kłopotów, przemocy, czy niepokojów, które mogłyby spowodować opuszczenie statku. A jednak na pokładzie nie było ani żywej duszy. Nikt nie był w stanie wymyślić żadnego wiarygodnego wyjaśnienia tego wypadku.

— Tylko — powiedział Calhoun do Murgatroyda — tym razem wydarzyło się to na większą skalę. Ludzie z tego miasta gdzieś sobie poszli i nie wrócili. Być może wszyscy ludzie na planecie zrobili tak samo, ponieważ nigdzie nie ma żadnego działającego komunikatora. Żeby dokonać niedopowiedzenia stulecia, Murgatroyd, nie podoba mi się to. Nie podoba mi się ani odrobinę!

II

W drodze powrotnej na Statek Medyczny, Calhoun zatrzymał się w innym miejscu, w którym powinien znajdować się zielony trawnik. Rosło tu kilka drzew typu ziemskiego, oraz parę miejscowych, zaś między nimi powinna zielenić się łączka. Drzewa prosperowały świetnie, ale rośliny poszycia były połamane i gniły.

Calhoun wziął odrobinę tego na wpół zgniłego szlamu i powąchał go. Pachniał lekko kwaśno, natarczywie, był to ten sam zapach, który zauważył, kiedy otworzył właz śluzy. Wyrzucił podniesioną grudkę i otarł ręce. Coś zabiło rośliny poszycia, które miały w zwyczaju zabijać ziemskie trawy, kiedy zostały tu zasiane.

Zaczął nasłuchiwać. Wszędzie tam, gdzie mieszkają ludzie, żyją także owady, ptaki i inne małe stworzenia, stanowiące istotną część systemu ekologicznego, do którego przystosowana była rasa ludzka. Musiały być przywożone i introdukowane na każdej nowej planecie, którą ludzkość miała nadzieję zająć. Tutaj jednak nie było słychać żadnych tego rodzaju stworzeń.

Możliwe było, że donośny grzmot rakiet awaryjnych Statku Medycznego, był jedynym prawdziwym odgłosem, jaki unosił się nad miastem od czasu kiedy zniknęli mieszkający tu ludzie.

Cisza niepokoiła Murgatroyda. Oznajmił wystraszonym tonem „Chee!” i przysunął się bliżej Calhouna. Calhoun pokręcił głową. Potem powiedział raptownie:

— Idziemy, Murgatroyd!

Wrócił do budynku, w którym znajdowały się urządzenia sterujące pracą sieci. Tym razem nie zaglądał do dziennika portu kosmicznego. Podszedł do przyrządów zapisujących dane o drugiej funkcji sieci lądowniczej. Oprócz wynoszenia i opuszczania statków kosmicznych, sieć lądownicza ściągała energię z jonów w wyższych częściach atmosfery i transmitowała ją na dół. Dostarczała całej energii, jakiej mogli potrzebować ludzie na planecie. Była to energia słoneczna, w pewnym sensie, absorbowana i przechowywana przez warstwy jonowe na wysokości wielu mil, która mogła być pobierana i dystrybuowana przez sieć. Podczas swego lotu na powierzchnię, Calhoun zauważył, że transmisja mocy jest ciągle dostępna. Teraz przyjrzał się temu, co mówią przyrządy.

Wskazówka na tarczy pokazującej pobór energii, przesuwała się powoli do tyłu i do przodu. Był to rytmiczny ruch, przechodzący od maksymalnego do minimalnego zużycia energii, i z powrotem. Co każde dwie sekundy, przez półsekundowy okres, z transmisji pobierana była moc w przybliżeniu sześciu milionów kilowatów. Potem pobór urywał się na półtorej sekundy i rozpoczynał się przez kolejną połowę sekundy.

Marszcząc brwi, Calhoun uniósł wzrok na doskonałą kolorową fotografię, wiszącą na ścianie nad miernikami poboru energii. Był to obraz zajętej przez ludzi części Mayi, zrobiony z kosmosu, z wysokości czterech tysięcy mil. Został powiększony do rozmiarów cztery stopy na sześć, i

Maya City widoczne było jako nieregularna grupa kwadratów i trójkątów, mierzących nieco więcej niż pół na trzy czwarte cala. Szczegóły były idealne. Można było dostrzec doskonale proste, nieskończenie cienkie linie wychodzące z miasta. Były to wielopasmowe autostrady, matematycznie prosto prowadzące z jednego miasta do drugiego, a potem równie matematycznie prosto – chociaż pod innym kątem – do kolejnego. Calhoun przypatrywał im się z namysłem.

— Ludzie wyjechali z miasta w pośpiechu — powiedział do Murgatroyda — i było bardzo niewiele zamieszania, jeśli w ogóle jakieś. A więc, musieli wiedzieć z wyprzedzeniem, że być może będą musieli to zrobić. Byli do tego przygotowani. Jeśli cokolwiek ze sobą zabrali, musieli mieć to gotowe i zapakowane do samochodów. Ale nie byli wcześniej pewni, że będą musieli wyjechać, ponieważ zajmowali się swoimi sprawami, jak zwykle. Wszystkie sklepy były otwarte, ludzie jedli w restauracjach posiłki, i tak dalej.

Murgatroyd odparł „Chee!", jakby w pełni się z nim zgadzając.

— A więc — kontynuował Calhoun, — gdzie on pojechali? Pytanie w zasadzie brzmi, gdzie oni mogli pojechać! W tym mieście mieszkało około ośmiuset tysięcy ludzi. Powinno, oczywiście, starczyć samochodów naziemnych dla każdego, a nawet powinni się wszyscy zmieścić w dwustu tysiącach samochodów. Ale to i tak całe mnóstwo samochodów! Rozmieścić je co dwieście stóp od siebie na autostradzie, to daje dwadzieścia sześć samochodów na milę, na każdym pasie ruchu! Niech jadą z szybkością stu mil na godzinę, na dwunastopasmowej drodze – wykorzystując wszystkie pasy do jazdy w jednym kierunku – to daje dwa tysiące sześćset samochodów na każdy pas na godzinę, czyli trzydzieści jeden tysięcy… przy dwóch autostradach mamy sześćdziesiąt dwa… przy trzech autostradach… Przy dwóch autostradach, można by opróżnić to miasto w trzy godziny, przy trzech w czasie bliżej dwu. Ponieważ nie ma żadnych oznak paniki, tak właśnie musieli zrobić. To również musieli przygotować z góry. Może zrobili to, zanim to się stało… cokolwiek tutaj się stało.

Przeszukał zdjęcie, które było znacznie dokładniejsze niż mapa. Na północ od Maya City były góry, ale tylko jedna z autostrad prowadziła na północ. Kolejne góry położone były na zachodzie. Jedna z autostrad do nich wiodła, ale nie przechodziła przez nie. Na południu znajdowało się morze, którego brzeg zakrzywiał się jakieś trzysta mil od Maya City, umieszczając w ten sposób kolonię ziemską na Mayi, na półwyspie.

— Pojechali na wschód — wkrótce zdecydował Calhoun. Śledził linie wodząc po nich palcem. — Na wschód prowadzą trzy autostrady; to jedyny sposób, żeby mogli wyjechać szybko. Nie byli pewni, czy będą musieli jechać, ale wiedzieli dokąd pojechać, kiedy to zrobili. Tak więc, po odebraniu ostrzeżenia, po prostu wyjechali. Trzema autostradami, na wschód. A my pojedziemy za nimi i spytamy ich, przed czym, u diabła, tak uciekają. Tutaj kompletnie niczego nie widać!

Wrócił na Statek Medyczny. Murgatroyd wskoczył do środka razem z nim.

Zaraz jak tylko właz śluzy powietrznej zamknął się za jego plecami, usłyszał kliknięcia z głośnika podłączonego do zewnętrznego mikrofonu. Zaczął im się przysłuchiwać. Były to podwójne kliknięcia, tak jakby coś się włączało i niemal natychmiast wyłączało się z powrotem. Tworzyły dwusekundowy cykl, taki sam jak w przypadku zużycia energii. Coś, co pobierało sześć milionów kilowatów uruchamiało się, i natychmiast wyłączało, co każde dwie sekundy. Wywoływało to dźwięk w głośnikach podłączonych do zewnętrznych mikrofonów, ale nie powodowało żadnych odgłosów w powietrzu. Kliknięcia mikrofonów miały charakter indukcyjny, były to wychwyty, tak jak przesłuch w wadliwych kablach telefonicznych.

Calhoun wzruszył ramionami, unosząc je niemal aż do samych uszu. Podszedł do komunikatora.

— Wzywam *Candidę*... — zaczął i odpowiedź niemalże uderzyła go w uszy.

— *Candida* do Statku Medycznego. Odbiór! Odbiór! Co się stało tam na dole?

— Miasto zostało opuszczone, bez żadnych oznak paniki — przekazał Calhoun. — Dostępna jest tu energia i nic nie wydaje się uszkodzone. Ale, tak jakby ktoś tu zawołał „Wszyscy natychmiast się wynoszą”, a oni to zrobili. To nie stało się, ot tak sobie! Jaki jest wasz następny port przeznaczenia?

Głos z *Candidy* podał mu informację, pełnym nadziei tonem.

— Zabierzecie mój raport — rozkazał Calhoun. — Dostarczycie go do biura zdrowia publicznego, natychmiast po wylądowaniu. Oni przekażą to do kwatery głównej sektora Służby Medycznej. Ja mam zamiar zostać tutaj i dowiedzieć się, co się tu stało.

Podyktował raport, czując w trakcie tej czynności coraz większą irytację, ponieważ nie potrafił wyjaśnić o czym właściwie w nim mówi. Miało tu miejsce coś poważnego, ale nie było żadnych wskazówek, co by to mogło być. Dokładniej mówiąc, to nie była tak na pewno sprawa zdrowia publicznego. Ale każda sytuacja alarmowa, o tak ogromnych rozmiarach, musiała pociągać za sobą aspekty związane ze zdrowiem publicznym.

— Pozostaję na dole, żeby zbadać sprawę — zakończył Calhoun. — Kolejne meldunki przekażę kiedy, i jeżeli, będzie to możliwe. Koniec wiadomości.

— A co z naszym pasażerem?

— Do diabła, z waszym pasażerem — gniewnie odparł Calhoun. — Róbcie sobie z nim co chcecie!

Wyłączył komunikator i przygotował się do działań poza statkiem. Wkrótce razem z Murgatroydem wyruszyli, aby poszukać jakiegoś środka transportu. Statku Medycznego nie można było użyć do operacji

poszukiwawczych, nie miał on na pokładzie dostatecznie dużych ilości paliwa rakietowego. Musieli skorzystać z pojazdu naziemnego.

Spostrzeżenie, że w mieście nic się nie poruszało, poza cieniami słonecznymi, ponownie nim lekko wstrząsnęło. Znowu, wydawało mu się, jakby wszyscy po prostu wyszli sobie przez jakieś drzwi, czy w inny nieznany sposób, i nie zdążyli jeszcze pojawić się z powrotem. Calhoun oglądał wystawy okienne sklepów jubilerskich. Na widoku leżały kompletnie niestrzeżone skarby. Dostrzegł kwiaciarnię. Tutaj pełno było ziemskich kwiatów, najwyraźniej doskonale się mających, oraz jakieś dziwne, piękne kwiaty z oliwkowo-zielonymi liśćmi, które miały się równie dobrze, jak ziemskie rośliny. Z kolei dalej znalazł klatkę w której rosła jakaś roślina, ta wyglądała jakby zmarniała, i miała wkrótce zgnić. Ale roślina, która musiała rosnąć w klatce…

Znalazł w końcu agencję samochodów naziemnych, może z importowanymi autami, może z takimi, które budowane były na Mayi. Wszedł do środka i spośród samochodów dostępnych na ekranie wybrał jeden, wyrafinowany wóz sportowy. Przekręcił kluczyk i auto zamruczało. Wyjechał ostrożnie na pustą ulicę, z Murgatroydem siedzącym z zainteresowaniem obok niego.

— To jest prawdziwy luksus, Murgatroyd — stwierdził Calhoun. — Ale także wielka kradzież. My, pracownicy opieki zdrowia, zwykle nie możemy sobie pozwolić na tego rodzaju rzeczy. Musimy też mieć dobrą wymówkę, żeby je ukraść. Ale, mamy bardzo niepewne czasy, więc możemy zaryzykować.

— Chee! — zgodził się Murgatroyd.

— Chcemy odnaleźć uciekinierów i spytać ich dlaczego stąd uciekli. Jak na razie, wygląda to tak, jakby uciekli przed niczym. Może będą zadowoleni, kiedy się dowiedzą, że w zasadzie mogą wracać do domu.

Murgatroyd znowu się zgodził:

— Chee!

Calhoun jechał pustymi ulicami. Drażniło to jakoś nerwy i niepokoiło. Czuł się, jakby w każdej chwili ktoś mógł wyskoczyć i krzyknąć „Buuu!”. Znalazł biegnącą w górze autostradę i prowadzącą na nią drogę wjazdową. Na ślimaku pojechał w kierunku wschodnim, wypatrując czujnie jakichkolwiek oznak życia. Nie było żadnych.

Był już niemal poza miastem, kiedy poczuł uderzenie dźwiękowej fali uderzeniowej, a następnie usłyszał zamierający warkot, który zanim zupełnie ucichł zdawał się coraz bardziej oddalać. Był to skutek poruszania się jakiegoś obiektu z szybkością ponaddźwiękową, kiedy hałas wytwarzany przez niego w dużej odległości, musi dopiero dogonić dźwięk emitowany w pobliżu.

Popatrzył do góry. Zobaczył na tle błękitu samotną plamkę czaszy spadochronu. Potem usłyszał ryk o jeszcze głębszym nawet tonie, ponaddźwiękowego pojazdu wznoszącego się w niebo. To mogła być szalupa kosmiczna z liniowca, która zeszła w atmosferę, a teraz wracała na orbitę.

Tak też było. Zostawiła za sobą wiszący spadochron, a teraz odleciała z powrotem w kosmos na spotkanie ze swym statkiem macierzystym.

— To — stwierdził niecierpliwie Calhoun — musi być ten pasażer z *Candidy*. Pewnie okazał się wystarczająco mocno przekonywujący.

Popatrzył ponuro. Głos z *Candidy* twierdził, że ich pasażer nalegał na wysadzenie go na planecie z powodów biznesowych. A Calhoun czuł pewne uprzedzenie w stosunku do tego typu ludzi biznesu, którzy uważali swoje własne sprawy za ważniejsze niż wszystkie inne. Dwa standardowe lata temu, wykonywał inspekcję planetarnej służby zdrowia na Texii II, w innym sektorze galaktyki. Była to stepowa planeta, z jednym gigantycznym przedsiębiorstwem komercyjnym. Nieograniczone obszary prerii obsiane zostały trawą ziemskiego rodzaju, co zniszczyło rodzime poszycie roślinne – odwrotność sytuacji poszycia, jaka była tutaj – i cała planeta stała się monstrualnym pastwiskiem dla bydła rzeźnego. Usiana była wszędzie gigantycznymi rzeźniami i masy bydła, w liczbie dziesiątek tysięcy, przemieszczane były to tu, to tam, przez naziemne pola indukcyjne, działające jako ogrodzenia. W końcu, bydło to kierowane było przez te same ogrodzenia indukcyjne do rzeźni, a tak naprawdę do pochylni, gdzie podrzynano mu gardła. Każdy możliwy do wyobrażenia ułamek grosza ekstrahowany był z ich zwłok, i Calhoun uznał to za coś przerażającego.

Nie czuł jakiegoś specjalnego sentymentu dla bydła, ale zimny, wyrachowany i okrutny charakter tej całej operacji, przyprawiał go o mdłości. Takie same zimne i wyrachowane działania, prowadzone były w stosunku ludzkich pracowników, którzy obsługiwali to miejsce. Ich kwatery życiowe były bardziej niż marginalne. Powietrze śmierdziało mordem bydła. Ludzie musieli pracować dla Texia Company, albo nie pracowali w ogóle. Jeżeli nie pracowali – nie jedli. Jeśli pracowali i jedli… Calhoun nie był w stanie dostrzec niczego satysfakcjonującego w życiu na planecie takiej jak tamta! Jego raport dla Służby Medycznej był bardzo zgryźliwy. Na zawsze już nabrał uprzedzeń w stosunku do biznesmenów.

Spadochron jednak obniżał swój lot, zwiewany z dala od miasta. Wyląduje na ziemi pewnie niezbyt daleko od autostrady, którą jechał. Calhounowi nawet nie przyszło do głowy, żeby nie pomóc nieznanemu spadochroniarzowi. Widział niewielką postać wiszącą pod czaszą spadochronu. Zwolnił i zjechał samochodem w stronę miejsca, w którym, jak oceniał, powinien wylądować spadochron.

Kiedy spadochron znalazł się na wysokości stu stóp, Calhoun znajdował się poza dwunastopasmową autostradą, na drodze dojazdowej. Pędził właśnie między polami oliwkowo-zielonych roślin, które rozciągały się aż po sam horyzont, kiedy spadochron w końcu dotknął ziemi. Wiał dosyć silny wiatr. Człowiek w uprzęży odbił się od powierzchni gruntu, Nie wiedział, jak zdusić powietrze w czaszy. Spadochron zaczął go ciągnąć za sobą.

Calhoun pomknął do przodu i skręcił w stronę spadochronu. Zahamował samochodem, a spadochron oparł się o jego kabinę, i zatrzymał. Calhoun wysiadł.

Mężczyzna leżał w beznadziejnej plątaninie linek. Próbował niezręcznie się z nich wygrzebać. Kiedy Calhoun podszedł do niego, zapytał podejrzliwie:

— Czy ma pan nóż?

Calhoun podał mu scyzoryk, uprzejmie otwierając jego ostrze. Mężczyzna przeciął linki i uwolnił się. Do uprzęży spadochronu miał przypiętą aktówkę. Przeciął paski mocujące. Aktówka nie tylko upadła, ale także otworzyła się. Na zewnątrz wysypała się niewiarygodna masa zupełnie nowiutkich, ciasno upakowanych banknotów międzygwiezdnych kredytów. Calhoun dostrzegł, że nominały wynosiły tysiąc i dziesięć tysięcy kredytów. Spadochroniarz sięgnął pod pachę i wyciągnął blaster.

To nie była broń żadnej służby. Była wyrafinowana, praktycznie zabawka. Rzucając kwaśne spojrzenie na Calhouna, mężczyzna wsunął ją do bocznej kieszeni i zaczął zbierać rozsypane pieniądze. Byłą to ogromna suma, ale spakował ją z powrotem. Potem wstał.

— Nazywam się Allison — oznajmił władczym tonem. — Arthur Allison. Jestem bardzo zobowiązany. Teraz, prosiłbym pana, aby zabrał mnie pan do Maya City.

— Nie — odmówił grzecznie Calhoun. — Właśnie stamtąd wyjechałem. Miasto jest wyludnione. Nie wracam tam. Tam nikogo nie ma.

— Ale ja mam tam ważny inte… — Mężczyzna wlepił w niego wzrok. — Jak to wyludnione? Przecież to niemożliwe!

— Rzeczywiście — zgodził się Calhoun. — Ale to prawda. Zostało opuszczone. Jest bezludne. Wszyscy z niego wyjechali. Nie ma tam zupełnie nikogo.

Mężczyzna, który określił się jako Allison, zamrugał z niedowierzaniem. Zaklął głośno. Potem wybuchnął wściekłym stekiem inwektyw.

Widać było jednak, że wiadomości go nie oszołomiły. Co, biorąc pod uwagę sytuację, samo w sobie było niemal oszałamiające. Po chwili w jego oczach pojawiła się przebiegłość. Rozejrzał się dokoła.

— Nazywam się Allison — powtórzył, tak jakby te słowa stanowiły jakieś zaklęcie. — Arthur Allison. Niezależnie od tego co się tu wydarzyło, mam pewien interes do zrobienia. Gdzie wyjechali ludzie? Muszę ich odnaleźć.

— Ja też muszę ich odnaleźć — powiedział Calhoun. — Zabiorę pana ze sobą, jeśli pan chce.

— Słyszał pan o mnie. — Było to stwierdzenie, wygłoszone z całą pewnością.

— Nigdy — uprzejmie odparł Calhoun. — Jeśli nie jest pan ranny, to mam nadzieję, że zdoła pan wsiąść do samochodu? Równie mocno jak pan, niepokoję się tym co się tutaj stało. Jestem ze Służby Medycznej.

Allison ruszył w stronę samochodu.

— Służba Medyczna, tak? Nie poważam za bardzo Służby Medycznej! Wy, stamtąd, próbujecie mieszać się w sprawy, które nie powinny was w ogóle obchodzić!

Calhoun nic nie odpowiedział. Ubłocony mężczyzna, ściskając mocno swoją aktówkę, przebrnął przez rządki oliwkowo-zielonych roślin do samochodu i chciał do niego wsiąść. Murgatroyd przywitał go kordialnie „Chee! Chee!”, ale Allison popatrzył na niego z niesmakiem.

— Co to jest?

— On nazywa się Murgatroyd — poinformował go Calhoun. — Jest *tormalem*. Należy do personelu Służby Medycznej.

— Nie lubię zwierzaków — zimno oznajmił Allison.

— On jest znacznie ważniejszy dla mnie, niż pan — powiedział Calhoun. — Zwłaszcza jeśli trzeba będzie wykonać jakieś badania.

Allison popatrzył na niego tak, jakby spodziewał się, że się skuli. Calhoun jednak nie miał takiego zamiaru. Allison każdym skrawkiem ciała okazywał, że jest ważnym człowiekiem, który oczekuje, że jego ogromne znaczenie będzie uznawane i respektowane. Kiedy Calhoun poruszył się niecierpliwie, wsiadł do samochodu i lekko warknął pod nosem. Calhoun zajął swoje miejsce. Silnik samochodu zamruczał. Wóz uniósł się na sześciu kolumnach powietrza, które zastępowały koła, i ślizgając się nad polem ciemnozielonych roślin oddalił się od spadochronu, rozłożonego na kilku ich rządkach, zostawiając za sobą w miejscu przejazdu ślad połamanych roślin.

Kiedy dotarli z powrotem do autostrady Calhoun skierował samochód na rampę wjazdową, ale po chwili nagle zwolnił. Coś zauważył.

Zatrzymał samochód i wysiadł. Tam, gdzie kończyła się orna ziemia, a zanim rozpoczęła się utwardzona nawierzchnia jezdni, było trochę miejsca, gdzie na każdej innej planecie można by się było spodziewać ujrzenia zielonej trawy.

Na Mayi, oczywiście, trawa nie rosła. Ale normalnie w miejscu gdzie świeciło słońce, była żyzna ziemia i wilgoć, powinno znaleźć się trochę dziko rosnących chwastów. Tutaj tego rodzaju roślinność kiedyś była, ale obecnie zmieniła się ona w rzadką, odpychającą masę błota i gnijących liści. Calhoun pochylił się, żeby się temu przyjrzeć.

Poczuł kwaśny, trochę natarczywy zapach rozkładu. To były rośliny poszycia Mayi, o których Calhoun czytał. Miały poruszające się łodygi, liście i kwiaty, i do tego kanibalistyczne tendencje. Były to miejscowe chwasty, powodujące że na tej planecie niemożliwa była uprawa zbóż na potrzeby zamieszkujących ją ludzi.

A teraz były martwe.

Calhoun wyprostował się i wrócił do samochodu. Rośliny podobne do tych wyginęły na trawniku dokoła budynku portu kosmicznego, i w tym drugim miejscu, gdzie powinna być łączka. Calhoun widział także dużą roślinę z tego rodzaju, koło kwiaciarni, która rosła w klatce, zanim obumarła. Była tutaj pewna osobliwa koincydencja: ludzie uciekli przed czymś, a coś spowodowało śmierć szczególnego rodzaju kanibalistycznych ziół.

To wszystko zebrane razem nie sumowało się dokładnie do niczego szczególnego i z pewnością nie był to dowód kompletnie na nic. Ale Calhoun prowadził samochód, pogrążony w mgliście zaintrygowanym nastroju. Z wolna formował mu się w głowie zalążek jakiegoś

przypuszczenia. Nie potrafił nawet udawać przed sobą, że jest ono bardzo prawdopodobne, ale z pewnością nie było ono bardziej nieprawdopodobne, niż to że miliony istot ludzkich porzuciły swoje domy na skutek chwilowego kaprysu.

III

Dotarli do obwodnicy miasta nazywanego Tenochtitlan, położonego jakieś czterdzieści mil od Maya City. Calhoun zjechał z autostrady, aby przez nie przejechać.

Ktokolwiek wybrał nazwę dla tej planety, Maya, musiał interesować się legendami Jukatanu, z historii Ziemi. Było wiele przykładów takich hobby na listach portów docelowych Służby Medycznej. Calhoun regularnie schodził na powierzchnię takich planet, które zostały nazwane na cześć państw i miast, kiedy pierwsi ludzie dotarli do gwiazd i nostalgicznie ochrzcili swe odkrycia nazwami podpowiadanymi przez tęsknotę za domem. Były planety takie jak Tralee, Dorset, czy Eire. Wcale nierzadko koloniści nadawali swojej planecie określoną nazwę, jako pewien wzorzec, i potem wybierali powiązane z nim nazwy dla mórz, półwyspów, czy łańcuchów górskich. Na Texii sieć lądownicza wznosiła się w pobliżu miasteczka nazywanego Corral, a główna zajmująca się pakowaniem mięsa osada, nosiła miano Roundup.

Cokolwiek miała sugerować nazwa Tenochtitlan, samo miasteczko jednak niezbyt do niej pasowało. Było niewielkie, z przyjemną architekturą miejscowego typu. Znalazło się w nim parę sklepów, kilka fabryk i wiele ściśle prywatnych domów, niektóre skupione blisko siebie, inne stojące pośrodku sporych ogrodów. W ogrodach tych widać było również pogrom i zniszczenie pośród kanibalistycznych roślin. Nie było trawy, ponieważ rośliny te uniemożliwiały jej rozrost, obecnie jednak ruchome rośliny same były martwe. Jednak poza tą jedną klasą obumarłych przedstawicieli flory, inna roślinność rozrastała się bujnie.

Niewielkie miasto było również wyludnione. Jego ulice stały pustką, domy były niezamieszkane. Jednak niektóre domy były tutaj wyraźnie zamknięte na zamki, a Calhoun widział trzy czy cztery sklepy, w których towary zostały pochowane, zanim właściciele się oddalili. Domyślał się, że albo to miasteczko zostało ostrzeżone wcześniej niż miasto przy porcie kosmicznym, albo tutejsi mieszkańcy mieli więcej czasu, żeby wyjechać zanim autostrady wypełniły się samochodami z zachodu.

Allison przyglądał się domom, bystrym, oceniającym spojrzeniem. Wydawał się jakby nie zauważać nieobecności ludzi. Kiedy Calhoun skręcił z powrotem na szeroką drogę prowadzącą poza niewielkie miasto, Allison obrzucił wzrokiem niekończące się pola ciemnozielonych roślin, z mniej więcej tego samego rodzaju zainteresowaniem.

— Interesujące — powiedział nagle, kiedy Tenochtitlan pozostało za nimi i zmniejszyło się do rozmiarów plamki. — Bardzo interesujące! Jestem zainteresowany ziemią. Nieruchomości, to mój biznes. Mam dużą

korporację ziemską na Thanet Trzy. Mam również pewne udziały na Dorset, i w innych miejscach. Tak mi po prostu przyszło do głowy: ile warta jest ta cała ziemia i te miasta, kiedy wszyscy ludzie z nich uciekli?

— A ile — spytał Calhoun, — warci są ci ludzie, którzy uciekli?

Allison nie zwrócił na to uwagi. Miał przebiegłą minę. Zamyśloną.

— Przyleciałem tutaj, żeby kupić ziemię — powiedział. — Zaaranżowałem zakup kilkuset mil kwadratowych. Kupiłbym więcej, gdyby ceny były dobre. Ale… przy takim rozwoju sytuacji, wygląda na to, że cena ziemi powinna odrobinkę spaść. Odrobinkę!

— To zależy — stwierdził Calhoun, — od tego czy ktoś pozostał przy życiu, żeby ją panu sprzedać, oraz od tego co tu się właściwie wydarzyło.

Allison popatrzył na niego ostro.

— To śmieszne! — oznajmił autorytatywnie. — Nie ma żadnych wątpliwości, odnośnie tego, czy oni przeżyli!

— Oni sądzili, że mogą być — zauważył Calhoun. — Dlatego właśnie uciekli. Mieli nadzieję, że tam dokąd uciekli będą bezpieczni. Ja mam nadzieję, że rzeczywiście są.

Allison zignorował tę uwagę. Jego oczy nadal pozostały żywe i sprytne. Ucieczka ludzi zamieszkujących Mayę w ogóle go nie deprymowała. Jego umysł zajęty był kontemplacją tego, co ta ucieczka oznaczać mogła z punktu widzenia człowieka interesu.

Samochód pędził dalej przed siebie. Niekończące się pola ciemnej zieleni śmigały pozostając z tyłu. Autostrada była pusta, po prostu trzy pasy gładkiej drogi, idealnie proste, biegnące aż po sam horyzont. Ciągnęły się one przez dziesiątki i setki mil, każdy pas był na tyle szeroki, by cztery samochody gruntowe mogły jechać koło siebie jednocześnie. Autostrada była przeznaczona do tego by pozwolić na dostarczenie całej produkcji otaczających ją pól na rynek lub do fabryki przetwórczej, z największą możliwą szybkością i w dowolnej możliwej do pomyślenia wielkości. Te same drogi pozwoliły na opuszczenie miast natychmiast po pojawieniu się ostrzeżenia – jakiekolwiek to ostrzeżenie było.

Pięćdziesiąt mil za Tenochtitlan, znajdował się długi na milę pas szop zawierających maszyny rolnicze do uprawy plonów i ciężarówki do przewozu tych plonów na rynek. Wokół tej całej maszynerii nie było śladu życia, podobnie jak i przez kolejną godzinę jazdy na wschód.

Potem pojawiło się po lewej stronie miasto, Ale nie było ono obsługiwane przez tę konkretną autostradę, lecz przez inną. Na jego ulicach także nie było żadnych oznak ruchu. Przesuwało się ono do tyłu wzdłuż lewego horyzontu. Wkrótce zniknęło.

Po upływie kolejnej połowy godziny, Murgatroyd oświadczył:

— Chee!

Poruszył się z niepokojem. W chwilę później ponownie oznajmił:

— Chee!

Calhoun oderwał wzrok od drogi. Murgatroyd wyglądał na nieszczęśliwego. Calhoun przesunął dłonią po futrzastym grzbiecie

tormala. Murgatroyd przycisnął się do niej. Samochód pędził dalej. Murgatroyd leciutko pisnął. Dłoń Calhouna poczuła, że niewielkie mięśnie zwierzątka, ostro się naprężyły, potem rozluźniły, a po chwili naprężyły ponownie. Murgatroyd zawołał niemal histerycznie:

— Chee-chee-chee-chee!

Calhoun zatrzymał samochód, ale Murgatroyd nie wydawał się spokojniejszy. Allison spytał niecierpliwie:

— O co chodzi?

— Właśnie tego próbuję się dowiedzieć — odparł Calhoun.

Sprawdził puls Murgatroyda. Rola *tormala* na pokładzie Statku Medycznego Asklepios Dwadzieścia, nie ograniczała się do funkcji uroczego towarzysza podczas długich, samotnych lotów w hipernapędzie. Murgatroyd był ważną częścią zespołu Służby Medycznej. Jego plemię zostało odkryte na jednej z planet w sektorze Deneba, i ludzie zrobili z nich zwierzątka domowe, zresztą ku wielkiemu zadowoleniu samych *tormali*. Wkrótce, odkryto, że *tormale* nigdy nie odwiedzają weterynarzy. Były niezmiennie w nienaruszalnym, dobrym zdrowiu. Nie łapały infekcji od innych ssaków, nie dzieliły ich z nikim innym. Służba Medyczna odkryła, że *tormale* posiadają dynamiczną odporność na choroby wywoływane przez drobnoustroje i bakterie. Nawet wirusy wstrzyknięte bezpośrednio w ich krwiobieg, wywoływały tylko natychmiastowy i przemożny rozwój antyciał, tak że *tormalowi* nigdy nie udało się przekazać żadnej znanej choroby. Miało to niesłychaną wartość dla Służby Medycznej.

Obecnie, każdy Statek Medyczny, który tylko udało się wyposażyć w *tormala*, miał na pokładzie sympatycznego członka plemienia z wąsikami. Ludzie lubili je, a one adorowały ludzi. A kiedy, jak to się czasami zdarza wskutek mutacji, albo zwykłego kaprysu natury, w społeczeństwie ludzkim pojawiał się nowy rodzaj choroby zakaźnej – nie ma sprawy – *tormale* ją zwalczały. Produkowały specjalne antyciała, do jej zniszczenia. Ludzie analizowali antyciała, syntetyzowali je i udostępniali wszystkim, którzy ich potrzebowali. Dzięki temu, że tormale były miłymi małymi zwierzątkami z bezcennym genetycznym darem dobrego zdrowia, można było uratować życie wielu milionom ludzi.

Calhoun popatrzył na swój zegarek z sekundnikiem, mierząc rytm skurczy mięśni widocznych u Murgatroyda. Współwystępowały one z nieregularnościami rytmu serca *tormala*, pojawiając się w mniej więcej dwusekundowych interwałach. Napięcie mięśni trwało tylko około pół sekundy.

— Ale, ja tego nie czuję! — stwierdził Calhoun.

Murgatroyd ponownie pisnął i oznajmił:

— Chee-chee!

— Co się dzieje? — dopytywał się Allison, z niecierpliwością charakterystyczną dla naprawdę bardzo ważnego człowieka. — Jeśli ten zwierzak jest chory, to jest chory! Muszę odnaleźć…

Calhoun otworzył swoją torbę lekarską i zaczął uważnie ją przeglądać, dopóki nie znalazł tego, co było mu potrzebne. Wsadził tabletkę w pyszczek Murgatroyda.

— Połknij to! — rozkazał.

Murgatroyd opierał się, ale tabletka przeszła. Calhoun czujnie go obserwował. Układ trawienny Murgatroyda był delikatny, ale bardzo godny zaufania. Wszystko, co mogłoby okazać się trujące, żołądek *tormala* natychmiast i energicznie by odrzucił.

Tabletka została w środku.

— Niech pan posłucha! — powiedział z oburzeniem Allison. — Mam biznes do zrobienia! W tej aktówce mam miliony międzygwiezdnych kredytów w gotówce, żeby zapłacić za ziemię i fabryki. Powinienem zawrzeć parę cholernie dobrych umów! I wyobrażam sobie, że to jest ważniejsze niż jakakolwiek inna rzecz, o której mógłby pan pomyśleć! A już na pewno jest to o wiele ważniejsze niż jakiś zwierzak, którego rozbolał brzuch!

Calhoun popatrzył na niego zimno.

— Czy ma pan ziemię na Texii? — spytał.

Szczęka Allisona opadła. Na twarzy pojawił się mu najwyższy niepokój i podejrzenie. Na te oznaki zdenerwowania, jego ręka powędrowała do bocznej kieszeni, w której spoczywał blaster. Nie wyciągnął go jednak. Lewa pięść Calhouna zatoczyła łuk i wylądowała prosto w celu. Wyjął wyrafinowany blaster Allisona i wyrzucił go gdzieś między jednostajne rzędy oliwkowo-zielonych roślin. Wrócił do pilnej obserwacji Murgatroyda.

Po pięciu minutach skurcze mięśni ustały. Po dziesięciu, Murgatroyd poweselał. Ale wydawał się myśleć, że Calhoun zrobił coś wspaniałego. Najcieplejszym z możliwych tonów oświadczył:

— Chee!

— Doskonale — stwierdził Calhoun. — Pojedźmy dalej. Podejrzewam, że będziesz się czuł równie dobrze jak my – na razie.

Samochód uniósł się parę cali, podtrzymywany nad ziemią przez kolumny powietrza. Ruszył dalej, ciągle na wschód. Calhoun jechał teraz jednak znacznie wolniej.

— Coś wywołało u Murgatroyda rytmiczne skurcze mięśni — powiedział zimno. — Podałem mu lekarstwo, żeby je powstrzymać. Jest bardziej wrażliwy niż my, a więc zareagował na bodziec, którego my nawet nie zauważyliśmy. Myślę jednak, że wkrótce go spostrzeżemy.

Allison zdawał się być oszołomiony wyrządzonym mu afrontem. Wydawało mu się nie do pomyślenia, że ktokolwiek mógł położyć na nim rękę.

— Co u diabła ma to wspólnego ze mną? — gniewnie się dopytywał. — I dlaczego mnie pan uderzył? Zapłaci pan za to!

— Dopóki nie powiem — powiedział mu Calhoun — będzie pan siedział cicho. I niech pana wszyscy diabli wezmą. Był kiedyś taki mały gadżet stosowany przez Służbę Medyczną – złożone małe urządzonko, które wytwarzało skurcz wybranych mięśni. Przydawało się ono do restartowania zatrzymanych serc, bez potrzeby wykonywania zabiegu operacyjnego. Regulowało także rytm bicia serca, jeśli był zbyt wolny,

albo niebezpiecznie nieregularny. Ale pewien biznesmen wpadł na wspaniały pomysł, i kazał oswojonemu badaczowi podłączyć to urządzenie do prądów indukcyjnych w ziemi. Podejrzewam, że pan zna tego biznesmena!

— Nie wiem o czym pan mówi! — rzucił ostro Allison. Ale widać było po nim jakieś szczególne napięcie.

— Ale ja wiem — oznajmił Calhoun nieprzyjemnym tonem. — Parę lat temu, prowadziłem inspekcję zdrowia społeczeństwa na Texii. Ta planeta w całości jest jednym gigantycznym przedsiębiorstwem hodowli bydła. Nie używa się tam metalowych płotów – stada są zbyt duże, aby mogły powstrzymać je takie rzeczy. Nie korzystają też z kowbojów – to za dużo kosztuje. Na Texii jako ogrodzenia dla bydła wykorzystuje się indukcję gruntową, w połączeniu ze wspomnianym przeze mnie wcześniej urządzeniem Służby Medycznej. Działa to jak ogrodzenie, chociaż jest przenoszone przez ziemię. Próbując przekroczyć taką barierę, krowy czują niepokój. A więc wycofują się. Dzięki temu ludzie mogą je kontrolować. Przepędzają je z miejsca na miejsce, zmieniając położenie barier, poprzez zmianę układu prądów indukowanych w ziemi. Bydło utrzymane jest w stałym ruchu, inaczej zostałoby ukarane przez przesuwającą się barierę. Przy pomocy takich pól indukcyjnych zapędzane jest nawet do rzeźni. Na tym właśnie polega sedno rozwiązania stosowanego na Texii, na użyciu pól indukcyjnych do przepędzania bydła. I tak sobie myślę, że tego samego tricku użyto na Mayi, do przepędzania jak bydło ludzi, do wygnania ich z własnych miast, tak żeby spadła wartość należących do nich pól i fabryk. I żeby pewien handlarz ziemią mógł zrobić dobry interes!

— Pan jest szalony! — warknął Allison. — Ja dopiero co wylądowałem na tej planecie! Widział pan jak to się stało! Nie mam pojęcia, co się tu działo, zanim przyleciałem! Jak mógłbym tego dokonać?

— Mógł pan to zaaranżować wcześniej — stwierdził Calhoun.

Allison nałożył maskę obrażonej i pełnej wyższości dumy. Calhoun dalej jechał naprzód, teraz z prędkością znacznie mniejszą od tego szalonego tempa, utrzymywanego przez niego wcześniej. Po pewnym czasie popatrzył na swoje dłonie spoczywające na kierownicy. Niemal dokładnie w tej samej chwili jego palce zaczęły się wykrzywiać. W rytmicznych odstępach czasu, skóra jakby się starała przesunąć mu się na grzbiet dłoni. Popatrzył na Allisona. Biznesmen trzymał ręce mocno zaciśnięte.

— Tak, mamy tutaj do czynienia z indukcją gruntową, z pewnością — spokojnie oznajmił Calhoun. — Zauważył pan? Właśnie wjeżdżamy prosto w ogrodzenie dla krów. Gdybyśmy byli bydłem, natychmiast byśmy zawrócili i uciekli stąd gdzie pieprz rośnie.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odparł Allison.

Ale jego dłonie pozostały zaciśnięte. Calhoun jeszcze bardziej zmniejszył szybkość jazdy. Zaczynał czuć, że każdy mięsień jego ciała wykręca się w tej samej chwili. Było to straszliwe uczucie. Mięśnie serca,

również zaczęły kurczyć się, równolegle z całą resztą, ale serce ma przecież swój własny rytm uderzeń. Czasami normalne uderzenie współwystępowało ze skurczem. Wtedy serce uderzało gwałtownie – tak gwałtownie, że aż powodowało to ból. Ale równie często, wymuszone skurcze mięśni serca, następowały tuż po normalnym uderzeniu, a następnie pozostawały lekko zaciśnięte przez pół sekundy. Powodowało to utratę jednego uderzenia i odbierane wrażenie było potworne.

Żadne zwierzę nie parłoby dalej naprzód, przy tego rodzaju sensacjach. Zawróciłoby już dawno temu. Żadne zwierzę. Ani nawet człowiek.

Calhoun zatrzymał samochód. Popatrzył na Murgatroyda. *Tormal* w pełni wrócił do siebie. Popatrzył pytająco na Calhouna. Calhoun odpowiedział mu skinięciem głową, ale przemówił – z pewną trudnością – do Allisona.

— Zobaczymy… czy to… będzie się nasilać. Wie pan dobrze, że to jest sztuczka z Texii. Gdzieś tutaj została włączona bariera indukowana przez ziemię. Przepędza ona ludzi… jak bydło. A teraz… my się na nią natknęliśmy. Zatrzymuje nas… jak bydło.

Ciężko dyszał. Mięśnie jego klatki piersiowej kurczyły się razem z pozostałymi, co zaburzało oddychanie. Ale Murgatroyd, który był zdenerwowany i źle się czuł, zanim Calhoun zauważył, że dzieje się coś złego, teraz był świeży i radosny. Lekarstwo odcięło jego mięśnie od zewnętrznych bodźców. W tej chwili mógłby nawet przyjąć spory wstrząs elektryczny, nie reagując na jego działanie.

Ale gdyby był on dostatecznie mocny, mógłby go zabić.

Szalony gniew przepełnił Calhouna. Wszystko pasowało do siebie. Allison wygodnie złapał ręką za blaster, kiedy tylko Calhoun wspomniał o Texii. Oznaczało to, że podejrzenia Calhouna względem Allisona, były słuszne. Na Mayi zostało wykorzystane urządzenie do zaganiania bydła, i ciągle ono działało, powstrzymując przed powrotem do domów – jak bydło – ludzi, którzy zostali z nich poprzednio wypędzeni – jak bydło. Calhoun był w stanie domyślić się – ze sporą dokładnością – w jaki sposób to wszystko wyglądało. Pierwsze doświadczenie Mayi z barierą dla bydła, było bardzo łagodne. Użyto prawdopodobnie małej mocy, wywołując ledwie zauważalny niepokój. Przesuwała się ona z zachodu na wschód, a po dotarciu do pewnego miejsca, jej działanie ustało. Jej oddziaływanie stanowiło tajemnicze i nieprzyjemne wydarzenie, którego nikt na Mayi nie rozumiał. Po tygodniu niemalże już o nim zapomniano. Potem jednak pojawiło się silniejsze zaburzenie. Przemieszczało się ono podobnie jak to pierwsze; wzdłuż długości półwyspu, na którym położona była kolonia, zatrzymało się w tym samym miejscu, a następnie znikło. Również i ono wydawało się bardzo tajemnicze. Nikt jednak nie podejrzewał, że to wszystko mogli spowodować ludzie. Pojawiło się wiele teorii, było mnóstwo pytań i dyskusji, ale wszystko zostało uznane za jakieś nieznane wcześniej wydarzenie naturalne.

Prawdopodobnie trzecie użycie bariery dla bydła, było najbardziej spektakularne. Tym razem, było ono pewnie nawet bardzo bolesne. Przeszło przez miasta, obok nich, nad nimi, przemieszczając się wzdłuż

półwyspu do miejsca, w którym zatrzymało się i ustało podobnie jak przy dwóch pierwszych okazjach.

Mieszkańcy Mayi byli zaniepokojeni i wystraszeni. Ale zauważyli oni, że zjawisko rozpoczyna się na zachód od Maya City, przesuwa się na wschód z taką to a taką szybkością, dochodzi do pewnego określonego miejsca i nie podąża dalej. Tak więc zorganizowali się, żeby wykorzystać te pieczołowicie zebrane informacje.

I nawet im nie przyszło do głowy, że właśnie doświadczyli na własnej skórze, jak to być przeganianym jak bydło.

Calhoun, oczywiście tylko się domyślał, że tak to się musiało odbyć. Ale nic innego nie wchodziło w rachubę. Być może bariery do przeganiania bydła użyto więcej niż trzy razy, żeby przygotować ludzi do porzucenia dobrze znanych im miejsc, i za każdym razem jej efekty zupełnie znikały. Wydarzenia te mogły dzielić dni, tygodnie, a może nawet miesiące. Po słabszych manifestacjach jej działania, pewnie stosowano silniejsze, a potem jeszcze silniejsze.

W każdym razie przez autostradę przebiega bariera indukcyjna dla bydła. Calhoun wjechał prosto na nią. Co dwie sekundy spinały się wszystkie mięśnie jego ciała. Czasami serce opuszczało jedno uderzenie, tak że aż wstrzymywało mu oddech, a czasami uderzało bardzo gwałtownie. Zdawało się, że symptomy działania bariery, zaczynają być coraz trudniejsze do zniesienia.

Wyjął torbę lekarską, szarpiącymi się spazmatycznie w niekontrolowany sposób rękoma. Wyszperał w niej to samo lekarstwo, które dał wcześniej Murgatroydowi. Wyjął dwie pigułki.

— Tak na rozum — zimno oznajmił — powinienem pozwolić, aby to wasze przeklęte urządzenie dało panu popalić. Ale – proszę!

Allison był w panice. Sama koncepcja bariery dla bydła, sugerowała oczywiście pewien dyskomfort, ale nie oznaczała zagrożenia. Działanie bariery stworzonej przecież dla ogromnych zwierząt kopytnych, a nie dla ludzi, było jednak straszne. Allison ciężko dyszał. Wykonywał jakieś konwulsyjne ruchy. Sam Calhoun poruszał się bardzo chaotycznie. Przez półtorej sekundy z dwu, mógł kontrolować swoje mięśnie. Przez pół sekundy tego samego interwału, nie był w stanie tego robić. Ale jakoś wsadził Allisonowi tabletkę do ust.

— Połknij to! — rozkazał. — Połknij!

Samochód stał nieruchomo na autostradzie, biegnącej przed nimi prosto przez jakąś milę, dalej znikającej w łagodnym obniżeniu terenu i po chwili wyłaniającej się po jego drugiej stronie. Zupełnie równe, płaskie pola po lewej i po prawej stronie, kończyły się tutaj. Zaczęły się pojawiać miejscowe drzewa, ze zwieszającymi się niedorzecznie długimi liśćmi. Znaczną część ziemi pokrywały zarośla. One wyglądały normalnie. Ale niżej, drobniejsza roślinność porastająca bezpośrednio ziemię, była obumarła i gniła.

Allison wykaszlał tabletkę. Calhoun wmusił w niego drugą. Murgatroyd przypatrywał się temu wszystkiemu pytająco, wodząc wzrokiem od jednego, do drugiego z ludzi. Powiedział:

— Chee? Chee?

Calhoun siedział już z powrotem w swoim fotelu, oddychając pieczołowicie, żeby utrzymać się przy życiu. Nie mógł jednak nic poradzić na nierówny rytm serca. Słońce świeciło jasno, chociaż znajdowało się już nisko, zmierzając w stronę linii horyzontu. Na poczerwieniałym niebie pojawiły się obłoki. Wiał łagodny wietrzyk. Wszystko na tej niewielkiej planecie z wyglądu było takie spokojne, ciche i bardzo swojskie.

Ale na obszarze zajętym przez istoty ludzkie, znajdowały się miasta, w tej chwili wymarłe, ciche i opustoszałe. Zaś gdzieś – gdzieś! - mieszkańcy planety oczekiwali z niepokojem na to aż zakończy się wreszcie ostatnia seria coraz bardziej przerażających zjawisk. Jak do tej pory, fale tego dziwnego, przyprawiającego o ciarki, powszechnego nieszczęścia powstawały w jednym określonym miejscu, wędrowały powoli w inne, a potem znikały i rozwiewały się. Ale ta fala męczarni była największa i najgorsza do zniesienia. I nie skończyła się. Nie zniknęła. Po trzech dniach ciągle działała z pełną siłą, utrzymując się w miejscu, w którym poprzednio zatrzymywała się i znikała.

Mieszkańcy Mayi byli wystraszeni. Nie mogli wrócić do swych domów. Nie byli przygotowani na sytuację wyjątkową, która miała trwać przez wiele dni. Nie zabrali ze sobą wystarczająco dużych zapasów żywności.

Zaczynało wyglądać, że będą musieli głodować.

IV

Calhoun był w bardzo kiepskim stanie, kiedy jego sportowy samochód dotarł do końca autostrady.

Najpierw wszystkie jezdnie drogi, która go tutaj doprowadziła, połączyły się z potrójną wstęgą autostrady z północy. Na pewnym odcinku, mógł sobie wybrać do jazdy dwadzieścia cztery pasy ruchu. Biegły razem, a potem ich liczba zmniejszyła się do dwunastu. Wszędzie dookoła widoczne były ślady ogromnej koncentracji ruchu, w pewnym okresie w przeszłości. Krzewy i mniejsze drzewa były połamane i przygniecione, w miejscach gdzie samochody zmuszone były do zjeżdżania poza utwardzoną nawierzchnię drogi i przebijania się przez roślinność. Dwanaście pasów skurczyło się do sześciu i nieutwardzonego terenu po obu stronach, wskazującego na to, że niezliczone samochody zmuszone zostały w ogóle do zjechania z autostrady. Dalej były już tylko trzy pasy, a potem dwa, aż w końcu pozostała tylko pojedyncza wstęga utwardzonej nawierzchni, po której mogły jechać obok siebie co najwyżej dwa samochody. Zniszczenia po obu jej stronach były zdumiewające. Cała widoczna roślinność, na półmilowym odcinku w prawą i w lewą stronę, była pognieciona i skotłowana. A potem wąska droga lokalna, przestała

biec kompletnie prosto. Zakręciła dookoła pagórka – ziemia tutaj nie była już idealnie płaska – i skończyła się.

A Calhoun zobaczył wszystkie samochody naziemne planety, zebrane razem i zaparkowane w jednym miejscu.

Nie było tutaj żadnych budynków. Nie było żadnych ulic. Nie było żadnych oznak cywilizacji, poza tysiącami, dziesiątkami tysięcy samochodów. To był niesamowity widok: stojące tak, zupełnie przypadkowo, z przodami wycelowanymi we wszystkich możliwych kierunkach, z wylotami kolumn powietrza wciśniętymi w ziemię, tak że w ogóle mogą pojawić się kłopoty z wydostaniem ich stąd.

W teorii na obszarze jednej mili kwadratowej terenu może zostać upchanych, zaparkowanych zderzak w zderzak, w ciasno rozmieszczonych szeregach, jakieś dwadzieścia pięć tysięcy samochodów. Tutaj jednak samochodów było wielokrotnie więcej, niektóre miejsca nie nadawały się do parkowania, a wiele rzędów zostało umieszczonych w sposób przypadkowy, bez specjalnych wysiłków, aby zmieścić jak największą liczbę samochodów w możliwie najmniejszym miejscu. Tak więc te środki publicznego systemu transportu planety Maya, porozrzucane były na ogromnym obszarze mniej więcej pięćdziesięciu mil kwadratowych. W niektórych miejscach samochody były stłoczone ciasno. Tu i ówdzie, było między nimi wiele wolnego miejsca. Wydawało się jednak, o ile mógł dostrzec w nadciągającym zmroku, że cała ta przestrzeń pokryta była w niesamowity sposób błyszczącymi pojazdami, tak że między nimi nie było widać niczego, poza sporadycznie wyrastającymi większymi drzewami.

Calhoun dotarł do krańca utwardzonej drogi. Poczekał aż tabletki, które wzięli razem z Allistonem zaczną w pełni działać tak, jak to było w przypadku Murgatroyda. W końcu tak się stało. Ruszył do przodu. Jednak siła pola indukcyjnego, musiała wzrosnąć w sposób trudny do zniesienia. Kiedy zatrzymał samochód, po Calhounie widać było skutki tego co przeszedł.

Wokół niego natychmiast zbiegli się ludzie. Rozległy się natarczywe wołania.

— To ustało? Przedostałeś się? Możemy wracać?

Calhoun pokręcił głową. Właśnie skończył się zachód słońca i na zachodnim niebie widać było wiele jaskrawych barw, ale nie były one w stanie rozjaśnić kolorem twarzy Calhouna. Jego policzki były białawe, oczy głęboko zatopione, i wyglądał jak ktoś w ostatnim stadium wyczerpania. Powiedział ciężkim głosem:

— Ciągle tam jest. Przebiliśmy się przez nią. Jestem ze Służby Medycznej. Czy macie tutaj jakiś rząd? Muszę porozmawiać z kimś, kto może tu wydawać rozkazy.

Gdyby pytanie to padło dwa dni wcześniej, nie otrzymałby na nie żadnej odpowiedzi, ponieważ uciekinierzy czekali tylko, aż katastrofa ulegnie zakończeniu. Dzień wcześniej, może znalazłby paru obdarzonych pewną władzą ludzi, z wysiłkiem usiłujących zorganizować wodę pitną dla

około dwóch milionów mieszkańców Mayi, nie mając do dyspozycji kompletnie żadnych studni, pomp, czy innych sposobów na rozwiązanie tego problemu. Gdyby pojawił się tu dzień później, bardziej prawdopodobne by było, że znalazłby tu tylko dziką anarchię. Ale przybył na miejsce o zachodzie słońca, trzeciego dnia po ucieczce z miast. Nie było już żadnych godnych wzmianki zapasów żywności, a wody pozostało drastycznie mało, ale uciekinierzy dopiero zaczynali podejrzewać, że być może nigdy już nie zdołają opuścić tego miejsca – oraz że mogą tutaj umrzeć.

Kilku ludzi wyszło z tłumu zbierającego się wokół sportowego samochodu, aby znaleźć osoby, mogące wydawać rozkazy. Calhoun został w samochodzie, odpoczywając po trudnym do zniesienia napięciu, któremu podlegał w ostatnich godzinach. Bariera indukcyjna dla bydła, miała dziesięć mil szerokości. Pierwsza mila nie była zła. Tylko Murgatroyd ją zauważył. Po dwóch milach odczuli ją Calhoun i Allison, ale lekarstwo wzmocniło ich na tyle, że byli w stanie to wytrzymać. Ale pozostała jeszcze długa, długa droga do centrum pola indukcyjnego, w czasie której samo istnienie stało się czystą torturą. Mięśnie Calhouna zawodziły go na część każdego dwusekundowego cyklu, a jego serce i płuca zdawały się w każdej chwili zaprzestawać nawet resztek pozorów swego działania. W tej części pola zapory dla bydła, nie ośmielił się jechać szybciej niż żółwim tempem, tak aby zachować kontrolę nad samochodem w sytuacji, kiedy nawet jego własne ciało nie dało się kontrolować. Na szczęście wkrótce siła pola osłabła, a w końcu zniknęła.

Teraz Murgatroyd mógł wreszcie popatrzeć serdecznie na postacie tłumu zebranych wokół samochodu ludzi. Niemal w ogóle nie ucierpiał. Otrzymał połowę dawki lekarstwa, jaką przyjął sam Calhoun, a waga jego ciała wynosiła zaledwie jedną dziesiątą tego co ciała lekarza. Przeszedł wszystko w absolutnym porządku. Teraz spoglądał z oczekiwaniem, na zbitą masę ludzi tłoczących się wokół samochodu, który przedostał się przez niewidzialną barierę na autostradzie. Desperacko wyczekiwali oni wieści, które przyniosłyby im nadzieję. Zaś Murgatroyd wyczekiwał ochoczo na to, aż ktoś go w końcu przywita, zacznie dawać mu ciasteczka i słodycze, i niewątpliwie dorzuci do tego kubek kawy.

Ale nikt jakoś nie chciał tego zrobić.

Minął dłuższy czas, kiedy na brzegu tłumu powstało jakieś poruszenie. Do tej pory zapadła już pełna noc, a mila za milą, dookoła we wszystkich kierunkach, jasno zapłonęły światła samochodów mieszkańców Mayi. Naturalnie, korzystali z transmisji energii dla zasilania silników swych maszyn, oraz ich reflektorów. Po jednej stronie ktoś krzyknął. Calhoun włączył reflektory swojego samochodu, aby pokazać drogę. Rozległy się kolejne krzyki. Grupa ludzi próbowała się przepchnąć przez zebrany dokoła tłum. Z trudnością, niebawem dotarli oni do samochodu.

— Powiedziano mi, że pan się przedostał — wysapał wysoki mężczyzna — ale nie może pan wrócić. Powiedziano mi…

Calhoun wstał sam. Siedzący obok Allison drgnął. Wysoki mężczyzna wysapał ponownie:

— Jestem prezydentem planety. Co możemy dla pana zrobić?

— Najpierw mnie wysłuchać — ze zmęczeniem powiedział Calhoun.

Trochę udało mu się odpocząć. Nie za wiele, ale odrobinę. Większa część pracy jaką wykonał, polegająca na przejechaniu samochodem stu kilkudziesięciu mil z Maya City, była trywialną sprawą. Ale nieustanne, a w końcowym okresie gwałtowne, spazmy serca i mięśni oddechowych, były kompletnie wyczerpujące. Usłyszał, jak Murgatroyd doprasza się natarczywie uwagi „Chee-chee-chee-chee!" i położył dłoń na małym zwierzątku, żeby je uspokoić.

— To, przed czym uciekliście — z wysiłkiem powiedział Calhoun — to rodzaj pola indukowanego w ziemi, wykorzystującego energię z sieci lądowniczej. Stosowane jest ono na Texii do zapędzania bydła na jego pastwiska, oraz do przeganiania go tam, gdzie chcą żeby się ono znalazło. Urządzenie to zostało jednak zaprojektowane dla krów. To bariera dla bydła. Ludzi, może ona zabić.

Mówił dalej, a jego głos zyskiwał na sile i pewności, w miarę upływu czasu. Wyjaśnił, szczegółowo, jak pole indukowane w ziemi, emitowane było wzdłuż określonej linii i pod określonym kątem w stosunku do swego źródła. Mogło być ono przesuwane, poprzez korygowanie ustawień aparatury, która je wysyłała.

— Ale… ale skoro to pole korzysta z transmitowanej energii — pośpiesznie zauważył prezydent planety, — to jeśli transmisja zostanie przerwana, ono również się wyłączy! Jeżeli panu udało się przez nie przedostać aby tutaj dotrzeć, proszę nam tylko powiedzieć jak przebić się przez nie z powrotem, a my już sami wyłączymy transmisję energii! Musimy coś zrobić natychmiast. Tutaj jest cała planeta. Nie mamy już jedzenia! Nie mamy wody! Musimy coś zrobić, inaczej wszyscy tutaj zginiemy!

— Tyle tylko — wyjaśnił Calhoun, — że jeśli wyłączy pan transmisję energii, i tak zgniecie! Ma pan tu dwa miliony ludzi, a znajdujecie się o sto mil od zapasów żywności. Bez energii nie dostaniecie się do niej, ani nie sprowadzicie jej tutaj. Jeżeli odetnie pan energię, będziecie tutaj uwięzieni. Bez energii, umrzecie równie szybko, jak z nią.

Od strony nasłuchujących wokół ludzi doleciał szmer. Brzmiał częściowo jakby warczenie, częściowo jakby jęk.

— Ja sam dopiero teraz się we wszystkim rozejrzałem — mówił dalej Calhoun. — Dopóki nie znalazłem się w odległości dziesięciu mil stąd, nie wiedziałem dokładnie, jak wygląda sytuacja, zaś aby być pewnym, musiałem dotrzeć aż tutaj. Teraz potrzebuję paru ludzi do pomocy. To nie będzie przyjemne. Może wystarczy mi lekarstw, żeby wydostać z stąd tuzin ludzi. Bezpieczniej będzie, jeśli zabiorę tylko sześciu. Znajdźcie jakiegoś doktora, który wybierze mi sześciu mężczyzn. Dobra akcja serca. Zdrowe płuca. Dwóch z nich musi być inżynierami elektronikami. Pozostali powinni być po prostu twardzi. Kiedy będzie miał pan ich gotowych, dam im to samo, co pozwoliło nam się tu przedostać. To lekarstwo

znieczulające, i nic więcej. Proszę też spróbować zorganizować dla nich jakąś broń.

Wszędzie wokół zamruczały głosy. Ludzie pośpiesznie wyjaśniali stojącym dalej, co powiedział Calhoun. Pełzająca katastrofa przed którą wszyscy uciekli – to nie było zjawisko naturalne, ale wywołane zostało sztucznie! To zrobili ludzie! Zostali tutaj zapędzeni, a ich żony i dzieci głodowały, z powodu czegoś, co zrobili ludzie!

Niski pomruk, poszum rozległ się wśród zebranego wokół sportowego auta tłumu. Jak na razie nikt nie pytał, jakie mogły być motywy ludzi, którzy coś takiego zrobili. Tłum przepełniała czysta furia. Calhoun nachylił się bliżej do Allisona.

— Na pana miejscu, nie wychodziłbym z samochodu — powiedział przyciszonym tonem. — I z pewnością nie próbowałbym kupować żadnych nieruchomości ziemskich po niskiej cenie!

Allison zadrżał. W miarę jak wyjaśnienie sytuacji docierało do ludzi, wszędzie widać było wielkie, ogromne poruszenie. W ciemnościach krążyło mnóstwo postaci ludzkich, rozchodzących się po całym terenie. Jasno świecące okna samochodów mrugały, kiedy przechodzili koło nich. Mieszkańcy Mayi porozrzucani byli na bardzo wielu milach kwadratowych niegdyś dzikiego terenu, i nie było żadnego wyrafinowanego systemu komunikacyjnego, przez który informacja ta mogłaby się szybko rozejść. Ale już na długo przed nadejściem świtu, nie było nikogo, kto by nie wiedział, dlaczego musieli uciekać przed grożącym im niebezpieczeństwem, oraz że byli tutaj przetrzymywani jak bydło za barierą dla krów, i w dodatku najwyraźniej porzucono ich na śmierć.

Zęby Allisona rozdzwoniły się. Był człowiekiem biznesu i aż do tej pory myślał o sobie jako o kimś takim. Podejmował decyzje w zaciszu biur, w otoczeniu adwokatów, sekretarek i urzędników, co pozwalało mu działać praktyczne i bezpieczne, nie przejmując się żadnymi konsekwencjami, poza finansowymi.

Natomiast obecnie, po raz pierwszy widział możliwe konsekwencje swoich decyzji, również w odniesieniu do siebie samego. Przyleciał na Mayę, ponieważ uznał tę sprawę za zbyt ważną, aby powierzyć ją komukolwiek innemu. Nawet jadąc z Calhounem, po drodze tutaj, był tylko uradowany i zdumiony sukcesem zaplanowanego numeru. Zmierzał prosto do celu. Miał nadzieję, że skończy jako wyłączny posiadacz całej kolonii na Maya, a każda roślina na planecie będzie rosła dla jego zysku, każda fabryka zarabiała pieniądze dla niego, zaś każdy mieszkaniec, będzie jego pracownikiem. Było to jego największe marzenie. Szczegóły i intrygi niezbędne do jego realizacji, rozkwitały bujnie w jego umyśle.

A teraz dzwonił zębami. Wystarczyłoby jedno słowo Calhouna i zostałby dosłownie rozdarty na strzępy przez otaczających go rozwścieczonych ludzi. Jego aktówka z milionami kredytów w gotówce – to byłby dowód wszystkiego, co postanowiłby powiedzieć Calhoun. Allison dowiedział się czym jest strach, taki sięgający aż samego dna duszy. Ale

zdobył się na odwagę, by nie opuścić boku Calhouna, nawet jeśli jedno zdanie lekarza wypowiedziane przez niego najzupełniej spokojnym tonem, mogłoby go zniszczyć, a on nigdy wcześniej w życiu nie stanął twarzą w twarz z rzeczywistym, zrozumiałym, fizycznym niebezpieczeństwem.

Niebawem, jeden po drugim, zaczęli przybywać wybrani ludzie, oddając się pod rozkazy Calhouna. Byli to mężczyźni o sprawnych ciałach i ponurych twarzach. Dwóch z nich było inżynierami elektronikami, tak jak tego zażądał. Następny był policjantem. Kolejnych dwu to mechanicy, ostatni zaś był lekarzem, a także amatorskim mistrzem planety w tenisie. Calhoun wydzielił im tabletki redukujące wrażliwość mięśni na zewnętrznie indukowane bodźce. Przekazał instrukcje. Mieli wjechać tak daleko w barierę dla bydła, ile tylko będą w stanie rozsądnie wytrzymać. Potem połkną tabletki i poczekają aż zaczną działać. Wtedy pojadą dalej. Jego zapas tabletek był ograniczony. Mógł dać każdemu z ludzi po trzy.

Murgatroyd zwijał się z rozczarowania, w miarę trwania odprawy. W oczywisty sposób, nie udało mu się odnieść tutaj sukcesu towarzyskiego. Był rozdrażniony i potrzebował więcej miejsca. Calhoun wrzucił aktówkę Allisona za fotele. Allison był za bardzo przerażony, żeby zaprotestować. To jednak nie powiększyło specjalnie wolnej przestrzeni na przednim siedzeniu, między Calhounem i Allisonem.

Cztery mruczące silnikami samochody naziemne, uniosły się osiem cali nad powierzchnię terenu i zawisły, na kolumnach rozpędzonego powietrza. Calhoun zajął pozycję na przedzie. Jego reflektory oświetlały wąską jednopasmową drogę, w którą skurczyły się dwie połączone dwunastopasmowe autostrady. Za nim ustawiły się w rzędzie kolejne reflektory. Samochód Calhouna ruszył w ciemność. Pozostałe podążyły za nim.

Nad ich głowami świeciły jaskrawo gwiazdy. Skupisko tysięcy słońc, położone o sto lat świetlnych stąd, tworzyło główne źródło oświetlenia, dające nocom na Maya odpowiednik jasnego, chociaż nieco rozproszonego światła księżyca. Samochody jechały równym tempem. Wkrótce Calhoun poczuł skurcze i drobne szarpnięcia mięśni. Wjechali w pole, stworzone początkowo dla zupełnie odmiennych celów, niż zaganianie ludzi czy bydła, ale na skalę przemysłową użyte po raz pierwszy na planecie Texia, a teraz zastosowane tutaj po raz drugi.

Droga rozszerzyła się na dwa pasy, następnie na cztery, a potem na osiem. Dalej cztery pasy skręciły w jedną stronę, a pozostałe cztery wkrótce się podwoiły, a po kilku chwilach jeszcze bardziej się rozszerzyły, zmieniając się w dwunastopasmową autostradę, którą Calhoun przyjechał tutaj z Maya City.

Ale rytmiczna interferencja wstrząsająca jego ciałem, stawała się coraz silniejsza. Allison nie odzywał się nawet słowem, kiedy Calhoun naradzał się z ludźmi z Mayi, w miejscu gdzie kończyła się autostrada. Kiedy ruszali z powrotem, zęby nadal mu dzwoniły. Nie próbował nic mówić przez cały początkowy odcinek przebijania się przez barierę dla

bydła. Zęby mu dzwoniły, przestawały, zaczynały dzwonić ponownie, aż w końcu dopiero po dłuższym czasie zdołał rozpaczliwie wysapać:

— Czy ma pan zamiar wydać mnie im, na śmierć?

Calhoun zatrzymał się. Jadące za nim samochody również stanęły. Dał Allisonowi dwie tabletki, i sam również wziął dwie. Z Murgatroydem na ramieniu, który uparł się, żeby mu towarzyszyć, przeszedł wzdłuż szeregu stojących za nim samochodów. Upewnił się, że każdy z jego sześciu ludzi wziął swoje tabletki, oraz że odniosły one odpowiedni skutek. Wrócił do sportowego samochodu.

Allison lekko pisnął, kiedy Calhoun z Murgatroydem wsiedli z powrotem do środka.

— Myślałem — rzucił konwersacyjnie Calhoun, — że mógłby pan spróbować odjechać samemu, kiedy nas nie było. To rozwiązywałoby dla mnie cały problem. Oczywiście, nie rozwiązałoby to niczego dla pana. Ale nie wydaje mi się, żeby pańskie problemy miały obecnie jakiekolwiek rozwiązanie.

Ponownie uniósł samochód w powietrze. Ruszył naprzód. Pozostałe auta posłusznie podążały za nim. Pomknęli przez rozgwieżdżoną noc. Calhoun zauważył, że efekt działania bariery dla bydła był słabszy, niż odczuł to przedtem. Pierwsze pigułki znieczulające nie do końca jeszcze przestały działać, kiedy dodał do nich następne. Jednak utrzymywał prędkość na niskim poziomie, dopóki nie upewnił się, że inni kierowcy są w stanie znieść udrękę przejazdu przez pole bariery.

Niebawem, był już pewien, że zapora dla bydła została już pokonana. Zwiększył szybkość jazdy do osiemdziesięciu mil na godzinę. Inne samochody wiernie powtórzyły ten manewr. Przyśpieszył do stu. Nikt nie został z tyłu. Samochód mrucząc silnikiem popędził przez noc z najwyższą szybkością – sto dwadzieścia, sto trzydzieści mil na godzinę. Światła pozostałych trzech wozów niezmiennie utrzymywały jego tempo jazdy.

Allison powiedział z desperacją:

— Proszę posłuchać! Ja… nie rozumiem co się stało. Mówi pan, jakbym to ja zaplanował to wszystko. Ja tylko… wydałem zgodę na prowadzenie tutaj… pewnego projektu badawczego. Ale to nie miało nic wspólnego z przetrzymywaniem ludzi tam, przez wiele dni! Coś poszło nie tak! Ja wierzyłem, że ludzie tylko będą chcieli opuścić Maya. Planowałem jedynie wykupić jak najwięcej ziemi i przejąć jak najwięcej fabryk. To wszystko! To był biznes! Tylko biznes!

Calhoun nie odpowiedział. Allison mógł nawet mówić prawdę. Niektórzy biznesmeni wolą myśleć, o zastraszeniu ludzi, aby sprzedali swój majątek poniżej jego prawdziwej wartości, jako o bardzo inteligentnym posunięciu. Rzeczy tego rodzaju działy się codziennie na giełdach. Ale mieszkańcy Mayi, mogli umrzeć!

Jeżeli już o tym mówimy, to jeszcze ciągle mogli. Nie byli w stanie dostać się do swych domów i zapasów żywności, dopóki transmitowana energia utrzymywała działającą zaporę dla bydła. Ale jeżeli energia zostałaby odcięta, również nie będą mogli tam się dostać.

Na całej powierzchni planety Maya, jedynymi miejscami w których widoczne były światła, była ta autostrada, w jednym konkretnym miejscu,

oraz skupisko wielu drobnych świateł, tam gdzie mieszkańcy planety czekali na wiadomość, czy będą żyli, czy umrą.

V

Calhoun chłodno się zastanawiał. Właśnie minęli najdalej położone niewielkie miasto, przy dwu autostradach. Teraz jechali dalej, pędząc między zalanymi światłem gwiazd polami pochodzących z Mayi roślin, przejeżdżając koło szeregu miejsc, w których wyładowane roślinami ciężarówki mogły wjechać na autostradę i skierować się do przetwarzających je fabryk. Pola rozciągały się przez wiele mil wzdłuż całej długości autostrady. Na boki biegły także gdzieś, aż poza horyzont – być może ciągnęły się dziesiątki mil również i w tym kierunku. Były to tysiące tysięcy mil kwadratowych poświęconych na uprawę ciemno zielonej roślinności, dostarczającej surowca dla eksportu kosmicznego Mayi. Jakieś sto kilkadziesiąt mil przed nimi znajdowało się niewielkie Tenochtitlan, gromadka stłoczonych domów leżących w świetle odległej gromady gwiezdnej. Jeszcze dalej, czekał ich kolejny odcinek autostrady i Maya City. A za nim…

Calhoun wnioskował, że emiter wytwarzający barierę indukcyjną dla bydła, powinien zostać umieszczony dalej, poza Maya City, pewnie gdzieś w górach widocznych na fotografii w budynku portu kosmicznego. Szeroka autostrada, wjeżdżała w te góry, jedynie na niewielką odległość.

Pole wytwarzane przez induktor gruntowy zawsze tworzyło kąt prosty z w stosunku do emitera, będącego jego źródłem. Można było tak dostroić emiter – w procesie analogicznym do ogniskowania – aby utworzone ono zostało faktycznie w dowolnej potrzebnej odległości, i odległość ta mogła być potem zmieniana. Aby przepędzić mieszkańców Maya City na wschód, emiter zapory dla bydła – urządzenia o którym nie mieli pojęcia; i które było dla nich czymś absolutnie dziwnym i całkowicie tajemniczym – emiter zapory dla bydła musiał zostać umieszczony na zachód od siedzib ludzi, których miano przegonić. Logicznie, najlepiej byłoby zlokalizować go gdzieś w górach. Byłby tam praktycznie nie do wykrycia. Wymagał do pracy energii transmitowanej z sieci lądowniczej; nie było żadnego innego dużego źródła energii, które dałoby sześć milionów kilowatów mocy, jaka była potrzebna do jego działania. Bez większych problemów można było go zabezpieczyć przed szybkim i łatwym odkryciem. Jego poszukiwania, mogą zabrać nawet i parę tygodni.

A ludzie zgromadzeni na początku autostrady, nie mogli czekać. Nie mieli już jedzenia, a dziury wygrzebywane w ziemi do poziomu wód gruntowych, przez ludzi korzystających wyłącznie z pracy gołych rąk, mogły okazać się po prostu niewystarczające. Bariera dla bydła musiała zostać wyłączona natychmiast – zaś transmisja energii z sieci musiała trwać dalej.

Calhoun wydał z siebie nagły, chrząkający odgłos. Wyrażenie słowami rzeczy, którą trzeba było zrobić, równało się praktycznie planowi, jak tego

dokonać. To proste! Będzie oczywiście potrzebował tych dwóch inżynierów elektroników. Ale to nie powinno być…

Jechał dalej z prędkością stu trzydziestu mil na godzinę, wykrzywiając kwaśno wargi. Pozostałe trzy samochody podążały jego śladem. Murgatroyd obserwował ciągnącą się przed nimi drogę. Mila za milą, minuta za minutą, reflektory rzucały przed samochodami jaskrawe, oślepiające snopy. Murgatroyd zaczynał się nudzić. Oznajmił „Chee!" z wyraźnym niezadowoleniem i próbował zwinąć się w kłębek między Allisonem i Calhounem. Było za mało miejsca. Przecisnął się na tylne siedzenie. Kręcił się na nim w tą i z powrotem. Dolatywały stamtąd jakieś nieustanne szelesty. W końcu się ułożył. Wkrótce zapadła cisza. Bez wątpienia nakrył nos swym futrzastym ogonem i zdrowo sobie zasnął.

Allison nagle się odezwał. Miał trochę czasu, żeby pomyśleć, ale nie był przyzwyczajony do odmiennych sposobów myślenia.

— Ile ma pan pieniędzy? — spytał.

— Niezbyt wiele — powiedział Calhoun. — Dlaczego pan pyta?

— Ja… nie zrobiłem niczego nielegalnego — odparł Allison, niezbyt przekonywująco tworząc wrażenie pewności siebie. — Ale mógłbym zostać narażony na pewne niedogodności, gdyby oskarżył mnie pan przed innymi o to, o co oskarżył mnie pan na osobności. Zdaje się, że uważa pan iż planowałem jakieś czyny kryminalne. Te działania, o których wiedziałem… ten projekt badawczy, o którym słyszałem… że on był powodem… on prawdopodobnie wyrwał się spod kontroli. Ale ja jestem zupełnie czysty. Nie zrobiłem nic, odnośnie czego nie miałbym opinii prawnej. Pod względem prawnym jestem nie do ruszenia. Moi adwokaci…

— To nie moja sprawa — powiedział mu Calhoun. — Ja jestem lekarzem. Wylądowałem tu, w samym środku czegoś, co wyglądało na poważną sytuację związaną ze zdrowiem publicznym. Wyruszyłem więc sprawdzić co się dzieje. Dowiedziałem się tego. Ciągle jeszcze nie mam rozwiązania problemu – a przynajmniej pełnego rozwiązania. Ale cała ludność Mayi znajduje się w stanie pewnego niedostatku, żeby nie powiedzieć niebezpieczeństwa. Mam nadzieję to zakończyć. Ale nie mam nic wspólnego z osądzaniem czyjejkolwiek winy, czy też niewinności, możliwości popełnienia jakichkolwiek przestępstw, albo ich zamiarów, czy czegokolwiek innego.

Allison przełknął ślinę. Potem powiedział z gładką pewnością siebie:

— Ale mógłby wpędzić mnie pan w pewne kłopoty. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan… gdyby pan…

— Zatuszował, to co pan zrobił? — dokończył Calhoun.

— Nie! Ja nie zrobiłem nic złego. Ale mógłby pan po prostu zachować dyskrecję. Wylądowałem na spadochronie tylko po to, by sfinalizować parę umów biznesowych, które zaaranżowałem wiele miesięcy temu. Zrezygnuję z nich. Odlecę stąd następnym statkiem. Obiecuję absolutnie otwarcie i szczerze. To tylko interesy. Ale pan mógłby stworzyć… niemiły obraz publiczny mojej osoby. Pomimo tego, że nie zrobiłem nic, czego nie

zrobiłby każdy inny biznesmen! Przypadkowo zdarzyło mi się dowiedzieć, o tym projekcie badawczym…

— Myślę — oznajmił Calhoun bez specjalnych emocji, — że to pan wysłał tych ludzi z Texii, z barierą do zaganiania bydła, żeby wystraszyli mieszkańców Mayi. Ci biedacy nawet by nie wiedzieli, co się dzieje. Byliby przerażeni, chcieliby uciekać. I dzięki temu mógłby pan wykupić praktycznie całą kolonię za równowartość torebki orzeszków ziemnych. Nie potrafię tego udowodnić — przyznał — ale takie jest moje zdanie. Pan jednak chciałby, żebym go nie rozgłaszał. Czy tak?

— Dokładnie! — powiedział Allison. Był wstrząśnięty do szpiku kości, ale udało mu się utrzymać ton głosu i ogólne wrażenie dostojnego człowieka biznesu, dyskutującego niemiły temat ze szlachetną szczerością. — Zapewniam pana, że pan się myli. Sam się pan zgadza, że nie może udowodnić swoich podejrzeń. Jeśli nie może pan ich udowodnić, nie powinien pan ich rozgłaszać. To po prostu kwestia etyki. Chyba pan się z tym zgodzi!

Calhoun popatrzył na niego z ciekawością.

— Czeka pan, abym wymienił swoją cenę?

— Czekam — odparł tonem napomnienia Allison — aż zgodzi się pan oszczędzić mi zakłopotania. Potrafię okazać wdzięczność. Pomimo wszystko, jestem człowiekiem o pewnych wpływach. Mógłbym wiele zrobić dla pana. Miło by mi było…

— Krąży pan wokół ceny, jaką spodziewa się pan, że przyjmę? — spytał Calhoun tonem lekkiej ciekawości.

Wyglądał na bardziej ciekawego niż oburzonego, a jeszcze bardziej rozbawionego niż ciekawego. Allison nagle się spocił. Calhoun nie wydawał się być przekupny. Ale Allison był zdesperowany.

— Jeśli chce pan postawić sprawy w taki sposób – to tak — powiedział ochryple. — Może pan wymienić interesującą pana kwotę. Przyjmę ją!

— Nie powiem o panu ani słowa — odparł Calhoun. — Nie będę musiał tego robić. Ci osobnicy, którzy obsługują pańską zaporę dla bydła, powiedzą wszystko co będzie potrzebne. Wszystko idealnie do siebie pasuje – poza jednym elementem. Siedzieli na miejscu przez cały czas, kiedy jechaliśmy tą drogą.

— Powiedziałem, żeby wymienił pan swoją kwotę! — głos Allisona brzmiał piskliwie i ostro. — Przyjmuję ją! Każdą kwotę! Każdą!

Calhoun wzruszył ramionami.

— A co by lekarz ze Służby Medycznej robił z pieniędzmi? Proszę dać spokój!

Jechał dalej. Pojawił się zjazd z autostrady do Tenochtitlan. Calhoun przejechał obok niego, nie zwalniając. Pojawił się inny łącznik z drogą przez miasteczko. Pozostał za ich plecami.

Zęby Allisona znowu zaczęły dzwonić.

Jakieś dwadzieścia minut później, zaczęły się pojawiać pierwsze budynki Maya City. Calhoun zwolnił, a inne samochody zbliżyły się do niego. Otworzył okno i zawołał:

— Jedziemy najpierw do sieci lądowniczej. Niech ktoś poprowadzi!

Jeden z samochodów przejechał obok i poprowadził pewnie resztę do rampy zjazdowej, z biegnącej teraz w górze autostrady, a następnie kompletnie ciemnymi ulicami, niektóre z nich były wąskie i kręte, aż dotarli do miejsca gdzie w niebo wznosiła się sieć lądownicza. Jej masywne dźwigary, u samej ziemi w świetle gwiazd sprawiały wrażenie kolosalnych i potężnych, ale wyżej położone elementy wyglądały na tle rozgwieżdżonego nieba jak srebrzysta siateczka.

Podjechali do budynku sterowania siecią. Calhoun wysiadł z samochodu. Murgatroyd wyskoczył za nim, z lekko przyprószonym kurzem futerkiem. Otrząsnął się i dziesięćtysięcykredytowy banknot międzygwiezdny, upadł na ziemię. Murgatroyd wymościł sobie wygodne miejsce do spania, przy pomocy zawartości aktówki Allisona. Była to z pewnością najdroższa, jeśli nawet nie najwygodniejsza, poduszka do spania, jaką kiedykolwiek miał *tormal*. Allison ciągle siedział jakby odrętwiały. Nawet nie podniósł banknotu z ziemi.

— Potrzebuję obu panów elektroników — powiedział Calhoun. Potem dodał przepraszająco do pozostałych: — Po prostu wymyśliłem coś po drodze tutaj. Przedtem wydawało mi się, że potrzebne będą pewne drastyczne działania, po nadejściu dnia. Teraz jednak, wątpię w to. Sugerowałbym jednak, abyście panowie wyłączyli reflektory samochodowe i na wszelki wypadek przygotowali się do ewentualnej strzelaniny. Nie wiem, czy nasi przeciwnicy czegoś spróbują, czy nie.

Ruszył jako pierwszy do środka. Włączył światło. Podszedł do miejsca, w którym wskaźniki pokazywały ilość energii w rzeczywistym użyciu, z ogromnego dostępnego zasobu sieci lądowniczej. Wskaźniki te obecnie pokazywały ekstremalnie mały pobór mocy, biorąc pod uwagę fakt, że miasta na planecie były w pełni zależne od sieci. Miasta te jednak w tej chwili stały w ciemnościach i nie było w nich mieszkańców. Wskazówka na liczniku zapotrzebowania, wahała się rytmicznie w przód i w tył. Co dwie sekundy zapotrzebowanie mocy wędrowało w górę mniej więcej o sześć milionów kilowatów. Obciążenie to trwało przez pół sekundy i spadało. Na kolejne półtora sekundy pobór wykorzystywanej mocy sześciu milionów kilowatów ustawał. W tym okresie, przesyłaną z sieci energię pobierały tylko automatyczne pompy, wentylatory i urządzenia chłodnicze. Potem sześć milionów kilowatów włączało się znowu na kolejne pół sekundy.

— Bariera dla bydła — oznajmił Calhoun — działa przez pół sekundy, co każde dwie sekundy. Musi ona przerywać swoje działanie, inaczej by po prostu paraliżowała zwierzęta, które w nią zawędrują. Albo ludzi. Ponieważ działa w sposób przerywany, zamiast tego je odpędza. Gdzieś tutaj powinny być narzędzia i części zapasowe do urządzeń zasilających, na wypadek gdyby potrzebowały one jakichś napraw. Chciałbym, żebyście panowie zrobili mi coś nowego.

Dwaj elektronicy zaczęli mu zadawać pytania.

— Potrzebujemy — wyjaśnił im Calhoun — przerywacza, który wyłączy transmisję energii na pół sekundy, w czasie gdy indukowane poprzez

ziemię pole potrzebować jej będzie do działania. Następnie powinien on włączyć przekaz energii na półtorej sekundy, podczas której zapora dla bydła powinna być wyłączona. To musi wyłączyć działanie bariery dla bydła, a jak mi się wydaje, samochód naziemny powinien działać, przy zasilaniu dostępnym przez trzy półsekundowe okresy z każdych czterech.

Elektronicy mrugnęli w jego stronę oczyma. Potem uśmiechnęli się od ucha do ucha i zabrali się do roboty. Calhoun poszedł pomyszkować po budynku. W jednym z biurek znalazł pojemnik na lancz, z trzema niezbyt świeżymi kanapkami. Oferował je chętnym.

Okazało się, że nikt nie chciał jeść, kiedy ich rodziny – czekające na początku autostrady – ciągle były głodne.

Elektronicy wezwali dwóch mechaników, żeby pomogli im coś zbudować. Wyjaśnili z entuzjazmem Calhounowi, że sporządzają odcięcie, które powinno skorygować każdy nagły wzrost zapotrzebowania na poziomie sześciu milionów kilowatów, nieważne w jakim przedziale czasu byłoby ono potem aktywne. Zmiana rytmu działania cyklu bariery dla bydła, nie powinna więc jej z powrotem uruchomić.

— Świetnie — ucieszył się Calhoun. — Nigdy bym o tym nie pomyślał!

Ugryzł nieświeżą kanapkę i wyszedł na zewnątrz. Allison siedział obwisły, ze zrozpaczoną miną, na swym siedzeniu w samochodzie.

— Bariera dla bydła właśnie jest wyłączana — powiadomił go Calhoun bez tryumfu w głosie. — Ludzie z miasta prawdopodobnie zaczną się tu pojawiać, gdzieś w okolicach wschodu słońca.

— Ja… nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem — wychrypiał z suchym gardłem Allison. — Nic! Będą musieli mi udowodnić, że wiedziałem jakie mogą być konsekwencje tego projektu badawczego. Tego się nie da udowodnić! Tego się nie da! A więc, nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem…

Calhoun wrócił do środka, spostrzegając, że będący także mistrzem tenisowym lekarz i policjant, który przyłączył się do niego, mieli na oku miasto, fundamenty sieci i wszystkie inne miejsca, z których mogłyby nadejść kłopoty.

W pomieszczeniu dyspozycji mocy, panowała doskonała atmosfera sukcesu. Sama energia nie przechodziła przez te urządzenia, ale tutejsze przekaźniki sterowały zakopanymi w ziemi potężnymi przewodami, dostarczającymi mocy całej planecie. A jeden z tych przekaźników, został zmodyfikowany. Kiedy emiter zapory dla bydła zamykał jego obwód, energia była wyłączana. Kiedy induktor gruntowy wyłączał się, energia była włączana. Nie było już bariery przecinającej prowadzącą na wschód autostradę. Było w zasadzie pewne, że samochody naziemne będą mogły działać przy napięciu dostarczanym przez półtorej sekundy, z każdych dwu. Mogły trochę szarpać w trakcie jazdy, ale na pewno będą w stanie jechać.

Pół godziny później poziom poboru energii z przesyłanej przez sieć transmisji, zaczął stopniowo i równo rosnąć. Mogło to oznaczać tylko jedno: zaczęły poruszać się samochody.

Po kolejnych czterdziestu pięciu minutach, Calhoun usłyszał jakieś hałasy koło budynku. Wyszedł na zewnątrz. Dwaj mężczyźni na straży, obserwowali uważnie miasto. Coś tam się poruszało. Był to samochód naziemny, jadący powoli i bez świateł. Calhoun spokojnie powiedział:

— Ktokolwiek steruje tą zaporą dla bydła, właśnie zorientował się, że ich urządzenie przestało działać. Światła też zaczęły im mrugać. Przyjechali, żeby sprawdzić co się dzieje z siecią lądowniczą. No i zobaczyli jasne okna. Blastery macie pod ręką?

Jednak nieoświetlony samochód zawrócił i pośpiesznie odjechał. Calhoun tylko wzruszył ramionami.

— Nie mają szans — stwierdził. — Przejmiemy ich aparaturę zaraz jak tylko zrobi się jasno. Jest za wielka żeby mogli ją zniszczyć, a będzie tam mnóstwo odcisków ich paluchów i innych tego rodzaju śladów, co pozwoli zidentyfikować ich, oraz tych którzy za nimi stoją. A oni nie są tutejsi. Kiedy policja zacznie szukać obcych, mieszkających w miejscu w którym znajduje się emiter zapory dla bydła… Mogą tylko uciec do dżungli, gdzie nie ma nic do jedzenia, albo oddać się w nasze ręce.

Ruszył z powrotem w stronę drzwi do budynku sterowania siecią. Allison zawołał za nim rozpaczliwie:

— Oni ukryją swój sprzęt. Nigdy wam się nie uda go odnaleźć!

Calhoun pokręcił głową w jasnym świetle gwiazd.

— Wszystko co potrafi latać znajdzie emiter w ciągu paru minut. Nawet na ziemi można by wyjść niemalże prosto na niego. Widzi pan, coś się stało, czego nie wzięli pod uwagę. Wcześniejsze, przygotowawcze przypadki użycia bariery dla bydła, odbywały się przy niskiej mocy. Na początek, lekko drażniące, za drugim razem wzbudzające niepokój, może nieco bolesne za trzecim. Ale dopiero teraz, włączyli ją na pełną moc.

Wzruszył ramionami. Nie miał ochoty na długie przemowy. A sprawa była oczywista. Coś zabijało rośliny pewnego rodzaju, do którego należały małe chwasty, niszczące ziemskie trawy. Owe rośliny poszycia – i większe, takie jak ta uschnięta, widziana przez Calhouna koło sklepu z kwiatami, ta która musiała rosnąć w klatce – miały ruchome łodygi, liście i kwiaty. Były kanibalami. Mogły poruszać łodygami, aby dosięgać, liśćmi aby zamykać w uścisku i kwiatami aby pożerać, inne rośliny, a może nawet małe zwierzęta. Problem, jednak, polegał na tym, że ich zdolność do ruchu była ograniczona. Ziemskie rośliny podobnego typu, takie jak muchołapki, czy czujące pnącza posiadały prymitywną tkankę mięśniową. Miejscowe rośliny poszycia, miały ją również. A pole zapory dla bydła wprawiło te tkanki w spazmatyczne skurcze. Potężne. Gwałtowne. Powtarzające się wielokrotnie. Dopóki nie obumarły z wyczerpania. Ustawione na pełną moc pole zapory dla bydła, dokonało eksterminacji mayańskich roślin poszycia na całym odcinku wzdłuż autostrady wiodącej na wschód. I nieuchronnie – a jakże wygodnie – także i w drugą stronę, do miejsca w którym pole zapory zostało wyemitowane. Obszar na którym rośliny poszycia uległy

zniszczeniu, będzie miał formę strzały, zwężającej się w kierunku emitera, a jego położenie wskaże dokładnie jej czubek.

— Pańscy przyjaciele — zauważył Calhoun, — prawdopodobnie sami się poddadzą i poproszą o łaskę. Nie pozostało im nic innego do zrobienia.

Po chwili dodał:

— I być może nawet ją uzyskają. Wie pan, ta zapora dla bydła ma pewien interesujący efekt uboczny. Zabija ona rośliny, które uniemożliwiały tutaj życie ziemskich traw. Teraz więc będzie można uprawiać tu zboża, w takich ilościach, jakie ludzie będą chcieli. Jeśli ta planeta nie będzie musiała importować całego potrzebnego jej chleba, powinno to przynieść jej całkiem niezłe korzyści.

Samochody z mieszkańcami Maya City, zaczęły przybywać o wschodzie słońca. W godzinę po świcie, bardzo zawzięcie umotywowani ludzie, znaleźli emiter i wyłączyli go.

W okolicach południa, na twarzach mieszkańców Mayi, ciągle widać było odrobinę gniewu, ale zniszczenia były niewielkie, albo nawet w ogóle, i życie z powrotem zaczęło toczyć się swym normalnym tokiem. Murgatroyd z wdzięcznością przyjął fakt, że sprawy wróciły do normalności. Dla niego normalność oznaczała, że był pieszczony i zabawiany, kiedy tylko Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia* dotknął ziemi. Normalnością było ochocze krążenie w admirującym go ludzkim społeczeństwie, oraz popijanie z ogromnym smakiem kolejnych filiżanek kawy.

A kiedy Murgatroyd tak krążył w ludzkim społeczeństwie, Calhoun przeszedł do swoich spraw. Co, oczywiście, oznaczało narady z urzędnikami planetarnej ochrony zdrowia, uprzejme przyjmowanie od nich informacji które uważali za ważne i taktowne opowiadanie im o ostatnich postępach w dziedzinie nauk medycznych.

A czymże innym miałby zajmować się lekarz ze Służby Medycznej?

KONIEC